Nr 34 (1596). Warszawa, 26 sierpnia 1911 r. **Rok XXXI**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **WŁODZIMIERSKA Nr. 5. Telefon 73-80.**

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Sen o ziemi obiecanej.

Podkreślano już nieraz ów osobliwy fakt dziejowy, że, aczkolwiek w Niemczech ucisk i niewola żywiołów mieszczańskich, na schyłku wieku ośmnastego, były nierównie cięższe niżli we Francji, to jednak Rewolucja Wielka była dziełem burżuazji francuskiej, nie zaś niemieckiej.

Oczywiście, „osobliwość" tego faktu jest tylko pozorna. W gruncie, odpowiada on najściślej zasadniczym prawom psychologji ludzkiej: im wyższy bywa poziom moralny i ekonomiczny człowieka, tym oporniej znosi on jarzmo, które go gniecie; w pewnej fazie rozwoju owo jarzmo ledwie go dotyka, gdy tymczasem, w fazie bardziej kulturalnej to samo jarzmo — boli go i piecze nieznośnie.

Robotnik francuski, albo amerykański, cieszący się, poza swą dzielnią fabryczną, swobodą nieograniczoną, ciężej znosi rygor kapitalizmu, niż robotnik niemiecki, włoski lub rosyjski.

Wyznawcy materjalizmu dziejowego chętnie z powyższym postrzeżeniem się godzą; niestety, nie chcą wysnuć zeń wniosków należytych.

Szczególny tragizm losów naszych sprawia, że u nas właśnie, w kraju, gdzie wnioski te byłyby najpotrzebniejsze, w rzeczywistości znajdują one posłuch najtrudniejszy pośród socjalistów, zwłaszcza pośród ich skrajnej lewicy.

A przecież niepodobna wyobrazić sobie błędu większego ponad branie marksizmu za filozofję, według której zbawczy przełom ludzkości ma się wyłonić z nadmiaru zła. Przełom ów, jeśli nawet przyjmiemy go na chwilę w tej apokaliptycznej widmowej postaci, w jakiej malują go Kautsky i Engels, nastąpi tym rychlej, im szybciej wznosić się będzie dobrobyt i oświata warstwy pracującej. W tym zaś kraju dokona się naprzód, w którym stan materjalny i duchowy ludu stać będzie najwyżej.

Przypomnijmy sobie długi okres przygotowawczy, poprzedzający rewolucję r. 89, która dała zwycięztwo mieszczaństwu, otwierając przed nim tryumfalną drogę zdobyczy, drogę, której kresu w chwili obecnej bynajmniej jeszcze dojrzeć niepodobna, — przypomnijmy sobie ten okres płodnej a cichej pracy i wytężonych wysiłków, podczas którego młoda, rosnąca burżuazja stopniowo kładła swą rękę na przywileje prawne i prerogatywy administracyjne możnowładztwa.

Taka sama droga skupionej wewnętrznej pracy i stopniowych zdobyczy stoi dziś przed ludem roboczym. Drogi tej przeskoczyć w butach siedmiomilowych nie można. Trzeba ją przebyć w trudzie owocnym i twórczym. Ziemia obiecana proletarjatu nie powstanie z jego niszczycielskich marzeń o nagłym kataklizmie ludzkości, ani z dzikich snów o powszechnej pogorzeli społecznej, ale z realnych plonów jego dziejowego dorobku i dojrzałej umiejętności władania złożonym aparatem nowoczesnej kultury. W świetle najpilniejszych postulatów przyszłości, prawowierni nasi marksiści, odsuwający zazdrośnie klasę roboczą od ogniska ogólno-ludzkiej cywilizacji, popełniają ciężkie, niewybaczalne przestępstwo zarówno przeciw interesom ludu, jak i przeciwko rozwojowi cywilizacji. Zwalczają oni, otaczają lekceważeniem i wzgardą, wszelkie usiłowania oświatowe przez inteligencję śród ludu podejmowane, wszelkie przedsięwzięcia kulturalne i placówki ideowe, powołane do życia na gruncie

ludowym i dla ludu. Zakładając wszystkie swe nadzieje na poczuciu różnic klasowych, jednocześnie nie ufają przyrodzonej tego poczucia potędze w duszy proletarjatu, osłaniają je, rozdmuchują, podniecają, kultywują i wreszcie przebóstwiają je, jako *cel sam w sobie*, niepomni, że ma ono jedynie służyć za narzędzie różnicowań społecznych o tyle, o ile zróżnicowania te leżą w zadaniach doskonalącej się ludzkości. W obawie, aby antagonizm klasowy nie uśmierzył się pod tchnieniem stopniowych reform społecznych i ekonomicznych, pielęgnują nienawiść w piersi ludu roboczego, jako twórczy zadatek przyszłych przeobrażeń.

Wszelako chwila zastanowienia się wystarczy, aby pojąć, że jeśli obecny ustrój kapitalistyczny zawiera w swej budowie nieprzejednaną konieczność walki klasowej, to wszelkie reformy, jakie w jego obrębie urzeczywistnić się dadzą, obnażać mogą jedynie z coraz wyraźniejszą oczywistością nieubłaganą potrzebę walnej ostatecznej rozprawy proletarjatu z burżuazją. Stojąc na stanowisku namienionym, jeden z najgłębszych krytyków Marksizmu, Labriola, twierdzi wprost, że reformy społeczne, dokonywane stopniowo i systematycznie, przynosząc ulgę klasie robotniczej i podnosząc poziom jej dobrobytu, tylko oczyszczają właściwie i przygotowują jedynie pole dla zasadniczych, śmiertelnych zapasów pracy z kapitałem.

Nie lękajcie się tedy, skrajni fanatycy antagonizmu klasowego! tych drobnych promyków światła, jakie garść inteligencji ideowej, wbrew dogmatom waszym, ośmiela się nieść w szeregi ciemnej, pracującej rzeszy ludu roboczego; nie przeklinajcie tych porywów rzeźwiącego idealizmu — którymi pragnie ona podnieść, rozświetlić i uszlachetnić duszę robotnika! Nie złorzeczcie reformom, które choć w części niedoli jego zaradzą. Jeżeli w drodze reform stopniowych, jak wierzymy wraz z pewnym odłamem socjalizmu, dadzą się rozstrzygnąć wszelkie niedomagania ery kapitalistycznej, tym lepiej.

Jeśli zaś wszelkie usiłowania reformistyczne pozostaną bezsilne wobec zasadniczej natury konfliktu, to walna bitwa, tak lub inaczej, stanie się nieunikniona, bez względu na to, czy będziemy w nią wierzyć, czy też nie. Lecz skoro tak, to na polu kultury i postępu, możecie działać z nami, nie chybiając zasadniczo swego celu i bynajmniej go się nie zrzekając. Natomiast, idąc i pracując z nami, nie uroniwszy nic z proroczej wizji swego ideału, dacie możność ludowi roboczemu, przed wprowadzeniem go do ziemi obiecanej, *znośniej i bardziej po ludzku* przetrwać okres próby w tej, jak mówicie, gehennie kapitalistycznej.

PRZEGLĄD POLITYCZNY.

(Traktat niemiecko-rysyjski. — Marokko. — Bezrobocie powszechne w Anglji).

Zawarty d. 19 b. m. traktat między Rosją a Niemcami usunął na chwilę na plan dalszy zatarg Marokański, aczkolwiek nićmi utajonych wpływów wiąże się on z nim niewątpliwie. Treścią traktatu jest pewnego rodzaju „rozgraniczenie" interesów obu mocarstw w Persji. Rosja zastrzega sobie w państwie szacha „wpływy polityczne", właściwie w północnej części państwa, gdyż Persja południowa uległa „wpływom" Anglji. Niemcy, wzamian za wspaniałomyślne zrzeczenie się „polityki" w Persji otrzymały od Rosji obietnicę nie przeszkadzania ich „interesom ekonomicznym" na ziemi persów, a nawet czynnego popierania ich przedsięwzięć kolejowych za pomocą połączenia przyszłych dróg żelaznych perskich z drogą Bagdadzką. Zamiana „polityki" zawsze, mniej lub więcej, nieuchwytnej i tymczasowej na ekonomikę, posiadającą wszelkie prerogatywy rzeczywistości i określoności, należy nie od dzisiaj do najbardziej przez rząd niemiecki umiłowanych operacji zewnę-

ECHA PRAWDY.

Dwa światy.

Jacyż to ludzie zetknęli się i starli ze sobą na cichym zazwyczaj zamku Rapperswilskim?

Jakie dwa obozy? Jakie dwa odrębne i przeciwne sobie światy?

Z chwilą bowiem, gdy kustosz — stary i złośliwy, lecz niepoczytalny, szkodnik, uległ obezwładnieniu, pozostają, na arenie obrachunku, dwie tylko strony: naprzód, członkowie Rady z panem Gałęzowskim na czele, magistrat lwowski (w osobach panów Rutowskiego, Ciuchcińskiego, Czołowskiego, Jaworskiego i Dwernickiego) tudzież oddani im literaci lwowscy pomnożeni przez niektórych dziennikarzy z Krakowa (służalczość, pomnożona przez miernotę), — a przeciwko nim, z drugiej strony, występująca garść p o e t ó w i m a r z y c i e l i.

To nie znaczy, iżby grono ich składać się miało wyłącznie z ludzi, piszących wiersze i oddanych gonitwie marzeń.

W liczbie oskarżycieli obok Stefana Żeromskiego, poety i powieściopisarza, znalazł się także praktyk-zawodowiec, dyrektor Kopera; wystąpili także dwaj uczeni, historycy, panowie St. Szpotański i M. Sokolnicki, specjaliści na polu badań ścisłych. Niemniej, żywiołem wspólnym, który ich zjednoczył i pchnął do walki — była poezja. Ona to, wbrew zorganizowanej, zazdrosnej o swe przywileje, grupie, wystąpić im kazała; i, na domiar, wystąpić tak l e k k o m y ś l n i e, iż nie uzbrojeni w prerogatywy jakiejś rewizji senatorskiej, miażdżącej i bezwzględnej, ważyli się zaufać poczuciu krzywdy narodowej w swym sercu!

Poeci i marzyciele! Oczekujcie gromów na swe głowy z rąk oburzonych Jowiszów cnoty obywatelskiej!

Jakże, doprawdy, można było tak niebacznie utożsamiać krzywdę publiczną ze swą krzywdą własną, stratę mienia narodowego poczytując za ubytek osobisty?

Jakże mogliście się dopuścić tak niebezpiecznej w naszych czasach herezji: h e r e z j i b e z i n t e r e s o w n e g o d ą ż e n i a?

Wiedzcie, że wszystko może wam być przebaczone, ale to jedno przebaczone nie będzie!

Służąc sprawie powszechnej, odwołaliście się do swego bólu, odczuwanego na widok trwonienia zabytków narodowych, i krzykiem tego bólu przekonać chcieliście sędziów o prawdzie swoich słów!

Poeci!

Męką serca i wagą sumienia próbowaliście przechylić szalę wyroku?

Potrzykroć poeci!

Chwila stała się straszna — pisze pewien świadek rozprawy — gdy wreszcie Stefan Żeromski wybuchnął gorącym poczuciem niesprawiedliwości:

trzno-politycznych. Wszak, jeśli Niemcy żądają dziś od Francji olbrzymich terytorjów, jako „kompensaty" w Afryce, to również wzamian za ustąpienie „wpływów politycznych" w Marokku, którego zresztą nie ofiarowywał im ani sultan marokański, ani Europa.

Jednocześnie z wiadomością układu powyższego nadeszły groźniejsze telegramy o przebiegu franko-niemieckich rokowań o Marokku. Osobiste pertraktacje dyplomatyczne pełnomocników obu państw uległy na czas pewien zawieszeniu. Panowie Cambon i Kiderlen-Waechter rozjechali się dla chwilowego użycia odpoczynku równie jak dla zdania sprawy rządom swym z dotychczasowych zabiegów dyplomatycznych. Prasa atoli, w napół urzędowych organach, podjęła akcję zawieszoną przez parlamentarzy. Organy p. Kiderlen-Waechtera, tak jeszcze niedawno tchnące zamiłowaniem pokoju i ustępliwością, wracają nagle do poprzedniego tonu wyniosłości i pychy, z którego przed paru tygodniami tak sromotnie wytrącone zostały przez imponującą postawę Anglji. Atoli brutalne obezwładnienie Anglji przez wielkie bezrobocie kolejowe, którego następstwem było sparaliżowanie machiny militarno-państwowej Wielkiej Brytanji, rozproszyło obawy Niemiec co do rychłej interwencji marynarki angielskiej na wodach morza Niemieckiego. Pozyskawszy z tej strony wolną rękę, zarazem z drugiej strony zabezpieczyły się wobec Rosji zawarciem pomienionej umowy perskiej. W ten sposób Francja, istotnie, uczuć się mogła osamotniona wobec kolosa niemieckiego, i osamotnienie to wpłynęło niechybnie na podniesienie skali żądań niemieckich. Zdaniem, czujnego na podszepty rządowe, *Lokal-Anzeigera*, pełnomocnicy Francji wiedzieć by powinni, że kompensaty terytorjalne, których domagają się Niemcy, nie mogą ograniczać się do ustępstwa kawałka ziemi, liczącego kilkanaście „metrów kwadratowych", że w każdym razie, na los obrad nie może pozostać bez wpływu kwestja południowej części Marokka, pod względem „ekonomicznym" interesującej bardzo silnie państwo Wilhelma. Tak poprostu zamierzają w Berlinie usprawiedliwić powrót dyplomacji niemieckiej do pierwotnie stawionych Francji żądań, żądań, które wówczas, uznane zostały nie tylko przez rząd francuski, ale i przez całą Europę za wygórowane i natychmiast poważne wzbudziły podejrzenia co do szczerego ze strony Niemiec życzenia pokojowego rozwiązania sporu o Marokko.

Tymczasem jednak groźne przesilenie wewnętrzne w Anglji zażegnane zostało. Wielki strajk kolejowy, zagrażający ogłodzeniem wszystkich wielkich miast na wyspie Brytańskiej należy dziś już do przeszłości. Szczera akcja pojednawcza rządu, wyrobienie społeczne obojga stron walczących, przedsiębiorców i robotników, wydały owoce.

Jak przewidywać było można ciężar okonomiczny bezrobocia zwalił się przedewszystkim na barki proletarjatu. Ograniczając dostatki i zasoby burżuazji, godził nędzą i śmiercią głodową w robotnika. Nikt też nie chciał wziąć na swe sumienie ogromu strat i ofiar, jakie pociągnęłoby ze sobą systematyczne trwanie bezrobocia przez czas dłuższy. Anglja, odzyskawszy swobodę działania, bez wątpienia stanie znów w pełnym rynsztunku bojowym na arenie świata. Jak wobec ewentualności tej zachowają się Niemcy, i o ile ponownie zmiękną ich twarde obecnie żądania — przyszłość okaże.

Przełom konstytucyjny i społeczny w Anglji.

Głęboki i skomplipowany kryzys konstytucyjny, od pięciu lat już utrzymujący Anglję w stanie napięcia i przykuwający do niej uwagę całego świata kulturalnego, znalazł wreszcie spokojne rozwiązanie, przynoszące zaszczyt genjuszowi politycznemu Anglików.

Dzieje kryzysu tego stanowić będą jedną z najciekawszych kart ich wielowiekowej kroniki parlamentaryzmu. Izba lordów, ulegając dwukrotnie wyrażonej woli narodu, przyjęła bez poprawek słynne rezolucje izby gmin, dotyczące ograniczenia władzy izby wyższej. Odtąd władza prawodawcza skupiać się będzie niemal wyłącznie w rękach izby gmin. Konstytucja angielska wzrosła o szereg nowych zasad,

---

— Nie wierzycie mi? wołał w bezsilnym uniesieniu rozpaczy: ja tu zdaleka przyjechałem chory i w gorączce, aby stanąć do oczu temu człowiekowi! — że tu jestem, to kwestja mojego życia. Instytucję ukochałem nad wszystko — tu się suchot nabawiłem — na syna mojego, na moje jedyne dziecko zaklinam się że prawdę mówiłem i prawdę drukowałem!

Poeta!

...W zaraniu swoich lat, pogrzebał młodość swoją w odludnym, samotnym zamku. Dni i noce trawił w usłudze tej instytucji, którą ukochał nad wszystko, w surowym przekonaniu, że za każdą godzinę pracy zapłaci latami zdrowia i życia, a każdy tam poniesiony wysiłek okupi kiedyś krwią swych płuc i ogniem zapalonym w piersiach, przeżartych chorobą. Pracował za 50 franków miesięcznie, cichy, nieznany nikomu, ofiarny, znosząc niedostatek i tęsknotę, w nadziei, że kiedyś, dzięki nadludzkim wytężeniom sił i zdolności, pozyska możność powściągnięcia brutalnej poniewierki tych dziejowych zabytków i relikwi, które w oczach jego hańbiono bezkarnie.

Tak marzył niegdyś, zabijając lata swej młodości, i tak dziś marzenia swe chce ziszczać, gdy nadszedł dlań „wiek męzki — wiek klęski".

Poeta!

Dlaczegóż miast występować z krzykiem rwącej się z sumienia rozpaczy, nie wystąpił przed Radą z pozwem do sądu, a, miast zaklęć na głowę syna, nie przedstawił certyfikatów od policji?

Od Rady muzealnej, od szanownego jej członków i adherentów zgromadzenia, uczcie się, młodzi, równowagi trzeźwej, praktycznego rozsądku i zimnej wytrzymałości na stanowisku!

Cały nasz kraj niechybnie spłonąłby pożarem idealizmu i marzycielstwa, gdyby nie zimny, stalowy chłód jej niezmąconych oczu.

Powiedzcie! każda inna Rada, posiadającą choć kroplę „idealizmu", każdy inny zarząd odrobinę gorętszy i mniej zrównoważony, gdyby choć jeden z zarzutów, podniesionych przeciwko niemu, został uzasadniony, i usprawiedliwił walkę, niezwłocznie podałby się do dymisji, wyciągając stąd odpowiednie dla siebie konsekwencje.

Przeciwko Radzie muzealnej udowodniono nie jeden, ale cały szereg zarzutów: patrzcie tedy, jak wiele wykazała stoicyzmu i trzeźwości... i równowagi statecznej, umiejąc pozostać nadal na stanowisku, mimo to, że runęły pod nim podstawy zaufania publicznego.

Zaiste, nie można było tryumfalniej wykazać swego praktycznego zmysłu i, zarazem, mniejszego liczenia się z fantazją — czy też sumieniem — poetów, niż zatrzymując nadal swe godności i urzędy.

Aliści, prawdą jest, co mówi Hebbel, że dla pewnych ludzi — siedzieć nadal — bywa jedynym środkiem, ażeby nie *upaść fatalnie!*

które, w chwili obecnej, znalazły już trwałą sankcję w księdze statutów. Lordom pozostało jedynie prawo trzykrotnego zawieszania uchwał przedstawicielstwa narodowego; atoli kwestje finansowe i budżetowe wyjęte być mają z pod groźby zawieszającego ich *veta*, jako podlegające całkowicie rozstrzyganiu izby niższej. Odtąd w Anglji zatwierdzenie królewskie i siłę prawa obowiązującego zyskiwać może, niezależnie od decyzji lordów, wszelki projekt finansowy, jeśli w przeciągu miesiąca po uchwaleniu go przez izbę gmin nie znajdzie aprobaty w izbie wyższej, i wszelki projekt ogólny, jeśli w ciągu dwóch lat, na trzech kolejnych sesjach, uchwalony zostanie przez izbę gmin i odrzucony przez izbę lordów. Faktycznie, tedy, parlament angielski z ciała dwuizbowego, jakim był dotychczas, przeistoczył się w ciało jednoizbowe.

Motywy, które skłoniły w ostatniej chwili lordów do ustępstwa są powszechnie zrozumiałe. Jak wiadomo, kryzys konstytucyjny, którego pierwszy wybuch ostry nastąpił w grudniu r. 1905, w następstwie uległ pewnemu złagodzeniu, i dopiero przed dwoma laty, jesienią r. 1909, już za rządów obecnego premjera Asquita, wstąpił ponownie w fazę silnego zaognienia. Wówczas to izba lordów odrzuciła pamiętny „rewolucyjny" budżet Lloyda - George'a, odwołując się jednocześnie do woli wyborców. Konflikt skarbowy sprawił konieczność rozpuszczenia parlamentu i naznaczenia nowych ogólnych wyborów, na których liberałowie utrzymali swą przewagę, aczkolwiek liczebnie nieco pomniejszoną. Dalsze wypadki sunęły już lotem strzały. W nowej izbie gmin liberalne ministerjum przeprowadziło uchwały co do ograniczenia władzy lordów, zawierające już w sobie wszystkie znamienne pierwiastki zatwierdzonego dzisiaj „bilu parlamentarnego". Po chybionej próbie dokonania zaszczytnego z opozycją kompromisu, podjętej, jak piszą, wskutek osobistej inicjatywy króla Jerzego, rezolucje dotyczące „veta" zostały przekazane izbie lordów i, jak należało się spodziewać, były przez nią odrzucone. To spowodowało powtórne rozpuszczenie parlamentu i ponowne wybory w grudniu roku ubiegłego. W ciągu zaś pierwszej połowy obecnego, 1911 roku, rząd Asquita, który i w tych ostatnich wyborach znalazł poparcie większości, bez trudu uzyskał przyjęcie przez izbę gmin swego projektu reformy parlamentarnej, i, gdy lordowie całkowicie skazili go swymi poprawkami, odwołał się do „prerogatywy królewskiej", postulując zamianowanie przez monarchę takiej liczby nowych lordów, któraby wystarczyła dla zapewnienia zwycięztwa zwalczanemu prawu. Wówczas zrozumieli lordowie, że kampanja ich jest nieodwołalnie przegrana: masowa nominacja kilkuset nowych prawodawców dziedzicznych mogłaby tylko bardziej jeszcze osłabić zachwianą powagę izby wyższej. Zrozumieli to i — ustąpili.

Jeśli jednakże rostrzygnięte świeżo przesilenie w życiu konstytucyjnym Anglji pozyskało tak wielką i zasadniczą, powiedzieć można, wszechświatową doniosłość, stało sie to bez wątpienia dzięki temu, że historja jego sięga początkiem swym po za historję dwóch ostatnich ministerjów liberalnych. Znaczenie przełomu tego, swą głębią i szerokością, o wiele przekracza szranki choćby najostrzejszego i najbardziej dramatycznego starcia, jakie rozegrać się może między jakimś rządem liberalnym, a pewną reakcyjną większością jakiejś izby wyższej. Wrzeczywistości przełom ów wywołany został nie przez Asquita lub jego poprzednika, ale nastąpił jako naturalny i nieuniknione owoc ewolucji demokratycznej parlamentaryzmu angielskiego na przestrzeni w. XIX-go.

* * *

A tegoż dnia, w którym izba lordów przyjęła słynny „bil parlamentarny", orgraniczający jej władzę prawodawczą, izba gmin rostrząsała wniesioną przez rząd pod obrady rezolucję co do wyznaczenia swym członkom wynagrodzeń czyli „djet" w rozmiarach 400 funtów sterlingów t. j. około 4 tysięcy rubli rocznie.

Nie trzeba dowodzić, że w dalszym ciągu rozwoju politycznego Anglji ta, na pozór, skromna reforma odegra rolę niemniejszą od tej, jaką powszechnie przypisuje się politycznej porażce izby lordów. Reforma ta bowiem jest pierwszym krokiem na drodze stopniowej likwidacji jednej ze starożytnych zasad angielskiej państwowości, mianowicie, zasady bezpłatnego przez obywateli pełnienia „honorowych" funkcji na korzyść państwa.

Pierwociny „Tygodnika Ilustrowanego".

Krytyk literacki *Tygodnika Ilustrowanego* jest człowiekiem bardzo pracowitym i kocha swój zawód. Niestety, posiada jedno wielkie ale: nazywa się — pan Galle. Nie zapominajmy jednak, iż są rzeczy, o których się nie mówi! Zwykła delikatność rozkazuje nie wspominać o postronku w domu powieszonego i dlatego, o ile sądzić można, nie należy w redakcji *Tygodnika Ilustrowanego* — wymawiać wyrazu: krytyk. Byłoby to bolesną nieprzyzwoitością — i nietaktem, tam bowiem, gdzie co tydzień *Kurjer literacki* podaje nóżki na ciepło i móżdżek cielęcia bitego w ciemię, tam, gdzie pan krytyk (właściwie: krytyczątko) co tydzień daje przedstawienia Filipa z konopi — tam można mówić o wszystkim, tylko nie o literaturze!

Biedny ten człowiek, któremu los ironiczy kazał się ośmieszać — nie zdaje sobie zapewne sprawy z tego, że jego rozum jest równie krótki, jak nazwisko. Robi takie wrażenie, jakgdyby wyskoczył z naparstka Pani Dulskiej i zabrał z sobą całą jej mądrość, którą miała w palcu — i oto rozdaje patenty, uśmiechając się życzliwie lub groźnie, zależnie od tego, czy autor przewyższa go inteligencją, czy nie. Bo trzeba wiedzieć, że znakomity krytyk *Tygodnika* nienawidzi utworów, pisanych z talentem; nie potrafi pogodzić się z myślą, że to, czego nie może objąć swoim rozumkiem, nie koniecznie jest płytkie.

Dlatego też doskonałe nowele Choromańskiego („Zuzanna", Warszawa, 1911), widzi jako „zbiór obrazków", a całą książkę nazywa „pierwocinami", ponieważ jest to książka pierwsza tego autora. Poczciwina, który z powodzeniem mógłby zostać zakrystjanem w Koziegłowach albo założyć sklepik z dewocjonaljami wespół z panem Dworzaczkiem, nie widzi nic poza „fabułą" utworów. Dla znakomitego krytykastra największej ilustracji polskiej — nie istnieje styl, nie istnieje konstrukcja, nie istnieje dokumentalna kultura Choromańskiego — istnieje „fabuła", która nie zawsze bywa „moralna". Biedny bezpłciowiec — gdybyż miał choć trochę talentu, potrafiłby uszanować talent i pracę drugiego człowieka! Dzisiaj jedynie można podziwiać to smutne nieporozumienie, które pozwala udawać trupom — ludzi żyjących, i śmiać się nie zawsze wesoło z ludzkiej bezczelności!

Bez „przydomka".

Z powodu zamieszczonej w *Naprzodzie* krakowskim wzmianki pewnego sympatyka P. P.S., o upadku politycznym Demokracji Narodowej oraz widokach propagandy, śród ludu roboczego, jakie dzięki temu otwierają się przed tajną organizacją P. P. S., czyli t. zw. „Frakcją Rewolucyjną", Warszawski *Wolny Głos*, apostołujący ideę nacjonalizmu żydowskiego pod maską obrony „polsko-rosyjskiego proletarjatu" w N-rze

Mówcy opozycji już zwracali uwagę izby gmin na to, że za przykładem parlamentu, niewątpliwie, pójdą niebawem miejscowe zgromadzenia przedstawicielskie, że niechybnie zrodzi się kwestja wynagrodzenia dla merów miejskich oraz prezesów rad w hrabstwach, i, że w ten sposób zachwianiu ulegnie cały układ wiekowy samorządu angielskiego.

Atoli głosy opozycji, stającej w obronie starożytnej tradycji feudalizmu pokonane zostały zwycięzko przez rzeczników reformy. Wniosek ministerjalny przeszedł większością 98-miu głosów. I z góry przewidzieć było można, że wniosek ten przejść musi, stanowi on bowiem logiczne dopełnienie rozszerzenia prawa wyborczego na warstwy ludowe. Dawać ludowi prawa wyborcze, a jednocześnie piętrzyć przeszkody niemal niezwyciężone na drodze przyjmowania mandatów przez przedstawicieli warstw niezamożnych, najbardziej właśnie potrzebujących opieki prawodawczej, było sprzecznością wewnętrzną, która prędzej, czy później w obliczu kultury współczesnej zniknąć musiała.

* * *

Zaledwie jednak przebrzmiały echa uznania z powodu pomyślnego rozwiązania kryzysu konstytucyjnego, gdy uwaga świata całego uderzona została wybuchem potężnego bezrobocia, które, wbrew ustalonej opinji, dowodzi, że i w Anglji możliwe są wstrząśnienia rewolucyjne.

Wślad za przełomem politycznym, nastąpiło przesilenie społeczne.

Oddawna już Anglja pozyskała sławę kraju o doskonale uregulowanych stosunkach pomiędzy pracodawcami i pracownikami, tak że można ją było uważać za wzór wyższej fazy ustroju kapitalistycznego. Wszelkie zatargi między kapitałem a pracą, rozstrzygały się tam nie w drodze żywiołowego zmagania się dwu ślepo wrogich potęg, ale na mocy układów pokojowych przedstawicieli zorganizowanej pracy z przedstawicielami zorganizowanego kapitału. Układom tym przewodniczyła rozwaga, oraz poczucie zabopólne własnego interesu, które współzawodniczącym ze sobą grupom nakazywało zachowywać pewną miarę w wymaganiach, stawianych stronie przeciwnej. Samo zaś owo współzawodnictwo, w ostatnich minionych lat dziesiątkach, straciło znacznie na sile dzięki sprzyjającym warunkom ekonomicznym, które zapewniły Anglji olbrzymie tryumfy przemysłowe. Potęgująca się z każdym rokiem wytwórczość angielska, zaopatrując rynki wszechświatowe w doborowe, pobijające wszelkie współzawodnictwo, produkty, dostarczała dość zatrudnienia ludności robotniczej. Ta ostatnia, wiążąc się w potężne *trade-union'y* porastała w zamożność, w kulturę, samowiedzę, biorąc bardzo realny udział w kapitalistycznym panowaniu Anglji nad światem. Siła militarna państwa, zdobywają coraz nowe rynki zbytu dla prudukcji rodzimej, pomnażając zasoby kapitału, dźwigała jednocześnie dobrobyt robotnika.

Zdawało się, że ten silny, zwarty ustrój trwa w pełnej mocy. Atoli, w czasach. bezpośrednio poprzedzających wybuch bezrobocia, były to już tylko pozory. Przewaga trade-unionów podminowana została przez siły ukryte pod nimi — przez falę niezorganizowanego proletarjatu roboczego, który wynurza się z odmętu społecznego jako stan piąty. Te żywioły niezorganizowane są produktem nieuniknionych kryzysów, krachów i wogóle zaburzeń przemysłowo-handlowych, nieodłącznych od istoty gospodarki kapitalistycznej, która przy najmniejszym wstrząśnieniu swej gigantycznej machiny, wyrzuca na bruk setki tysięcy rodzin robotniczych. Niespodziane i gwałtowne dojście do głosu tych żywiołów zdawałoby się wskazywać właśnie na poważne zachwianie dobrobytu materjalnego, wskutek kryzysów ekonomiaznych doby ostatniej i, acz kolwiek strejk obecny pomyślnie został załatwiony, otwierać przed Anglją nowy okres fermentu rewolucyjnego.

St. Romanowski.

Organizacja kooperatywy spożywczej.

II.

Dotąd nie mamy nic niezwykłego, czegoś co by nie istniało w świecie kapitalistycznym. Tego rodzaju sklepów udziałowych może powstawać w każ-

---

18 cynicznie natrząsa się z akcji politycznej rzeczonej organizacji, przyrównywając jej działaczy do bandytów, z przydomkiem „rewolucyjni”. Nie wezwiemy nadaremno imienia jej rycerzy — poległych. Zauważymy tylko, że nad mogiłami ich gwizdać może tylko nikczemna gawiedź. *Wolny Głos*, wliczając ich między „bandytów rewolucyjnych” podziela ściśle opinję sfer, zwalczających nietyle bandytyzm ile rewolucyjność. Atoli, my, ze swej strony niezawodnie podzielimy opinję wszystkich ludzi uczciwych, wyrażając przekonanie iż w gronie grupujących się dokoła *Wolnego Głosu*, Radków, Kradków i t. p. „bohaterów” znaleźć moglibyśmy indywidua, które zasługują na miano nie tyle „bandytów”, ile złodziei, i nie tyle rewolucyjnych, ile kieszonkowych, posiadających najzwyklejsze w świecie kwalifikacje do utrzymania.. na koszt państwowy.

Apoteoza pana Feldmana (nieudana).

Wydało mi się, że jestem w jakiejś świątecznie przybranej sali; że otacza mnie ciżba ludzi.

— Czy znacie pana Wilhelma Feldmana?— spytałem nagle, niewiadomo czemu.

— Znamy! znamy! — odpowiadają głosy z tłumu: on to pierwszy z Olimpu poezji polskiej wykradł ogień..,

— Tak! i oświetlił nim swoją kamienicę w Krakowie! — ktoś dorzucił z boku.

— Być może, lecz nie zapominajmy, że jest to jeden z najwielostronniejszych ludzi swego wieku: będąc w olnomyślicielem i bezwyznaniowcem...

—...Potrafił wyjednać dla Stanisława Wyspiańskiego uczciwy pogrzeb katolicki! — wmieszał się znowu ktoś drugi.

— Nie przeczę: atoli, jako krytyk literacki, umiał on wznieść się ponad różnice...

—...Dzielące Fredrę od Wyspiańskiego, podając wiersz autora „Zemsty” za przyczynek do charakterystyki „Młodej Polski” — wtrącał się dalej nieznajomy.

— Bądź co bądź, jako historyk piśmiennictwa, nie dawał uwodzić się pozorom, więc gdy...

—... Więc gdy pewnego razu nadesłano mu do redakcji utwór Słowackiego, bez podpisu, wolał odrzec nie-pozornie: „Nie mam łokcia do mierzenia poezji” — i rzucić utwór do kosza, niż, idąc za popędem serca, przypisać go, dla kompensaty, Fredrze! zauważył znów ktoś inny.

— Przyznać jednak musimy, że, jako działacz, dla interesów wolności czyni on bardzo wiele: tajemnic Kosmosu broni on przed Haecklem, intuicji przed zalewem wolnej myśli, olbrzymów osłania przed pomniejszycielami, tak, iż mogą żyć bezpieczni i niepostrzeni, Hegla uwalnia od beztreściwości, Kanta od oportunizmu...

— Tak! Ale któż mnie, któż uwolni m n i e od pana Feldmana, któż mnie odeń uwolni na wieki?..

dem mieście bardzo wiele, mogą one dawać swoim udziałowcom zyski, mogą znowu współzawodniczyć pomiędzy sobą i spożywca, jako taki, niby nie zyskał na pozornie nowej formacji sklepu udziałowego. Aby do tego niedopuścić i aby interes każdego spożywcy nigdy nie był poświęcany na ołtarzu interesów jakiejkolwiek drobnej grupy, kooperatywa spożywcza wprowadza drugą swoją naczelną zasadę *nieograniczonego przyjmowania nowych członków.* Z tej zasady wynika bezwględne potępienie wszelkiego rodzaju kooperatyw zamkniętych, t. j. takich, które przyjmują tylko ludzi jednego wyznania, jednej rasy, jednakowych poglądów politycznych i t. p. Kooperatywa spożywcza jest organizacją spożywców, a ponieważ każdy jest spożywcą, więc każdy w każdej chwili powinien mieć do niej wolny wstęp na tych samych prawach, co członkowie założyciele. Finlandzki kooperatysta Rosenquist [1]) tak silnie podkreśla tę zasadę, iż nie waha się z powodu francuskich socjalistycznych i kolejowych kooperatyw powiedzieć: „są one niegodne naszej uwagi: stowarzyszenia spożywcze powinny być tylko stowarzyszeniami spożywców, nie zaś organizacjami partyjnemi lub zawodowemi". Z zasady nieograniczonego przyjmowania nowych członków wynika również potępienie współzawodnictwa pomiędzy dwoma lub więcej stowarzyszeniami spożywczymi w jednej miejscowości. Koszta tej konkurencji znów ponosiłby spożywca, a zatym we własnym interesie nie powinien dopuszczać do niej. Kooperatywa spożywcza może w swoim sklepie sprzedawać towar „po cenie kosztu", mówiąc językiem handlowym, to znaczy pobierać za towar tę cenę, jaką sama płaci hurtownikowi z niewielką nadwyżką na koszta lokalu, przewozu, administracji. Czynią tak niektóre kooperatywy włoskie naprzykład, złożone z członków bardzo ubogich, mało inteligentnych i nie obliczających na dalszą metę.

System ten doprowadza do rozpaczy drobnych sklepikarzy, którzy oczywiście po tak nizkiej cenie sprzedawać nie mogą, a jest niedogodny i dla członków kooperatywy i dla jej rozwoju. Członkowie kooperatywy otrzymują częściowo w minimalnych dawkach, przy każdym zakupie, minimalne zniżki, których nie czują. Kooperatywa zaś nie gromadzi sobie żadnego funduszu zapasowego Dla tego też kooperatywa spożywcza rządzi się zasadą *sprzedawania po zwykłych cenach handlowych*, panujących w danej miejscowości w handlu detalicznym. Oto trzecia organiczna zasada kooperatywy spożywczej.

W odróżnieniu jednak od handlu detalicznego, sklep współdzielczy kieruje się *uczciwością kupiecką* i nigdy nie daje sfałszowanego towaru, lub złej miary i wagi. Uczciwość kupiecka jest zatym czwartą zasadą organiczną kooperatywy. Oczywista rzecz, że sklep spożywczy zorganizowany na modłę kooperatywną, może i powinien dawać zysk, dość pokaźny nawet: 20 do 30% od włożonego kapitału. Taki zysk dają zwykle prywatne sklepy spożywcze. Któż zabiera ten zysk? Otóż zabierają go ci, którzy najwięcej przyczynili się do rozwoju kooperatywy, to znaczy ci udziałowcy, którzy kupowali w sklepie kooperatywnym. Kapitał potrzebny na założenie kooperatywnego sklepu jest niewielki i nie odgrywa bynajmniej najważniejszej roli. Główną rzeczą tu jest klijentela, dokonywanie zakupów w kooperatywie, przez co kapitał obróci się kilka razy do roku, i kooperatywa będzie prosperować. To też *zysk*, obliczony w końcu roku, dzieli się pomiędzy udziałowców sklepu, lecz nie w stosunku do włożonych udziałów, *a w stosunku do poczynionych przez każdego zakupów.* Ta piąta organiczna zasada kooperatywy spożywczej, bodaj najważniejsza, wprowadza absolutnie nowy czynnik w stosuki ekonomiczne i jest rozsądną realizacji utopijnej zasady: każdemu według

(1 O. A. Rosenquist. Die Konsumgenossenschaft, ihr föderatives Ausbau und dessen Theorie (Der Föderalismus.

---

westnął z jakąś niezmierzoną goryczą ktoś niedostrzeżony i milczący dotychczas.

— Na Boga! kim-że pan jesteś? — z niepokojem rzuciłem w jego stronę pytanie.

— Kim? Ja jestem — zbiedzony frazes polski, którego dosiadł pan Feldman przed dziesięciu laty i od tej chwili wciąż galopuje, galopuje, — choć sami widzicie, że mi całkiem już zapadły boki i oddech świszczy chrapliwie.

* * *

...Nagle drgnęłem Wzniósłszy rękę, przesunąłem ją ruchem omdlałym po czole i po oczach. Ah! to był tylko sen. Śniła mi się najwidoczniej u r o c z y s t o ś ć a p o t e o z y pana Feldmana. Tak! przypominam sobie. Przecieram powieki z resztek widzenia. Siedzę przy biurku, a przedemną leży ostatni zeszyt *Krytyki* krakowskiej z artykułem wstępnym: „Myśl niepodległa, czy wolna dusza", który czytałem — przed godziną.

Jak w bajce...

Zamożny pewien ziemianin na Litwie, zapalonym będąc lotnikiem i posiadając własny aparat, urządził podobno w swoich majątkach stałą komunikację powietrzną, z której zresztą sam jeden dotąd korzysta.

Ano: gdzie przejść nie można, tam trzeba przeskoczyć. Drogi polskie i litewskie słyną wszędy za nieprzebyte, to też niedziwota, że kwapią się u nas ludzie do napowietrznych szlaków. Zupełnie to samo zjawisko zachodzi na Saharze, gdzie, marzyć nie mogąc o rzuceniu szyn kolejowych, rząd francuski zakłada pono komunikację powietrzną.

Nasze czynniki miarodajne ociągają się tak długo i tak wytrwale z budową jakichkolwiek dróg racjonalnych, jak gdyby chciały tym większe pole zapewnić swojskiej awjacji.

Czyżby aeroplan utrwalić miał nasze sławetne bezdroża już na wieczność całą?

Coś na to się zanosi.

W pewnym powiecie wyznaczono pewną kwotę na budowę szosy od miasta A do miasta B. Budowę zaczęto niezwłocznie z obu końców i przeprowadziwszy coś po 5 wiorst z każdej strony — na tym poprzestano. Minęły lata: od A do B jeżdżono w dalszym ciągu po piachach, wybojach i wykrotach; w urzędowych zato papierach szły pochlebne raporty o kwitnącym stanie nowej szosy. Wreszcie jeden z okolicznych wójtów rzucił myśl niefortunną ażeby ludność miejscowa zbudowała szosę własnymi środkami! Ten pomysł ściągnął nań srogie represje: niebaczny wójt odpokutował — w kozie szaloną iście ideję budowania dróg, opłaconych z funduszów gubernialnych i figurujących na rządowym planie.

Lud jakoby przejrzał...

Kilkadziesiąt tysięcy pątników corocznie ściągających na odpust w d. 15 sierpnia pod mury „świętego" siedliska Macochów — zmalało w r. bieżącym do niepozornej, jak na polską dewocję, liczby około 6,000. głów...

Znaczyłoby to, iż czyn „zakonnego" braciszka stał się strumieniem otrzeźwienia, wylanym na rozpalone od fanatyzmu czoła polskiego ludu.

jego potrzeb. Ponieważ na zakupach członka — nie na udziałach, jakie wpłacił — opiera swój byt sklep współdzielczy, zatym ten członek jest tu figurą najważniejszą To też *bez względu na ilość wpłaconych udziałów jeden członek ma tylko jeden głos*. Ta zasada, szósta, stanowi podstawę politycznej organizacji kooperatywy. Jednak — w dzisiejszym społeczeństwie — nikt nie włożyłby pieniędzy w przedsiębiorstwo, tak, aby te pieniądze nie procentowały. Licząc się tedy z koniecznościami obecnego ustroju, *kooperatywa wypłaca od udziałów odsetek, według przeciętnej normy panującej w danym kraju*, a więc 3 do 6-ciu. Udziały dają prawo do procentu, zyski zaś dzielą się w stosunku do zakupów. Tak samo tylko do procentu dają prawo wszelkie pożyczki, jakie zaciąga kooperatywa. Jeżeli jednak los kooperatywy zależy przeważnie od zakupów, to zarówno członkowie stowarzyszenia, którzy wnieśli udziały, jak i nie — członkowie, którzy wchodzą z ulicy, powinni mieć jednakowe prawo do zysków, czyli — jak się zwykle mówi do zwrotów w końcu w roku; albo też kooperatywy nie powinny sprzedawać publiczności. Obliczanie zwrotów, w stosunku do poczynionych zakupów ludziom przelotnie odwiedzającym sklep — jest technicznie niemożliwe. Pozostaje więc tylko pytanie, czy kooperatywa spożywcza powinna sprzedawać publiczności? Pionerzy roczdalscy sprzedawali publiczności, w Niemczech prawo zakazuje sprzedaży publicznej, a opinja kooperatywna nie skarży się na ten przepis. Cóż tedy myśleć w tej sprawie? Niewątpliwie zysk osiągnięty ze sprzedaży publicznej nie jest oszczędnością, wynikającą z doskonalnej organizacji handlu, lecz zyskiem handlowym — w zwykłym tego słowa znaczeniu — sztucznie zwiększającym sumę przypadającą do zwrotu członkom udziałowcom. Mimo to sprzedaż publiczności jest doskonałym i poglądowym środkiem agitacyjnym na rzecz kooperatywy. Kto raz wszedł do sklepu współdzielczego kogo tam dobrze obsłużyli, a w dodatku zaopatrzyli w jaką broszurę, albo gazetę agitacyjną — ten stanie się sympatykiem kooperatywy i niebawem zapisze się na udziałowca. Dalej jest bardzo poważny wzgląd moralny, który przemawia za nieudzielaniem zwrotów publiczności. Wszakże kooperatywa to nie automat ekonomiczny. Udziałowiec, który bywa na posiedzeniach kooperatywy, myśli o niej, dba o nią — nie może być przecież zrównany w prawach z przechodniem przypadkowo zabłąkanym w sklepie współdzielczym. Jeżeli zaś ten przechodzień nie jest przypadkowy, to zostanie niebawem udziałowcem: dostęp do tego stoi zawsze otworem. Dla tego też w tej spornej teoretycznie kwestji, ja osobiście jestem zwolennikiem *sprzedawania wszystkim w sklepach współdzielczych*. W każdym razie zasada sprzedawsnia wszystkim, czy też tylko członkom, jako sporna, nie jest już jedną z tych ustalonych, podstawowych zasad, jak poprzednie siedm.

Jerzy Kurnatowski.

BADANIA NAUKOWE.

Cele i sposoby działalności Papieża Piusa X.

(Ciąg dalszy).

Ponieważ rzeczone błędy, rozpowszechniając się coraz szerzej wśród wiernych, mogą owładnąć ich umysłami i podkopać nakoniec szczerość ich wiary, podobało się Najświętszemu Panu naszemu, Piusowi X, z boskiej Opatrzności Papieżowi (SS mo D. N. Pio, divina providentia Pp. X), żeby przez to Świętej Rzymskiej Powszechnej Inkwizycji Zgromadzenie te błędy, które pomiędzy innymi są najgłówniejsze, zostały wykazane i potępione (ii qui inter eos praecipui essent notarentur et reprobarentur)".

W taki to więc sposób w Dekrecie tym to święte Zgromadzenie wylicza i ogłasza zdania i twierdzenia (propositiones), wyłowione ze współczesnego piśmiennictwa naukowego, tyczącego się głównie krytyki biblijnej. Celem zaś takiego wyławiania ich było, jak to widzimy, zebranie razem tego, co po rozmaitych dziełach było rozproszone, wytworzenie z nich pewnej całości, przedstawiającej poglądy współczesnego nam pokolenia na Księgę Świętą i oparty na niej Chrystjanizm w ogóle, a — Katolicyzm w szczególności, i nakoniec — odrzucenie tych twierdzeń i potępienie każdego z osobna i wszystkich razem (reprobandas ac proscribendas esse). Takich twierdzeń zebrano LXV.

Poznamy z nich główniejsze.

IX. „Ci, którzy wierzą, że Bóg jest rzeczywiście autorem Pisma Świętego, wykazują wielką swą naiwność lub nieświadomość rzeczy (nimiam simplicitatem aut ignorantiam)."

XII. „Krytyk (Exegeta), jeżeli chce poświęcić się z korzyścią studjom biblijnym, powinien przedewszystkim pozbyć się poprzednio nabytego mniemania o nadnaturalnym pochodzeniu Pisma Świętego i nie inaczej je rozpatrywać, jak i wszelkie inne utwory ludzkiego umysłu".

XIII. „Właściwie to sami Ewangeliści i chrześcjanie w drugim i trzecim pokoleniu sztucznie opracowali (artificiose digesserunt) przypowieści ewangeliczne"...

XIV. „W wielu opowiadaniach ewangeliści podali nie to, co było prawdą, lecz to, co uważali za pożyteczne dla czytelników, chociaż to prawdą mogło już nie być".

XV. „Ewangelje były wciąż rozszerzane uzupełnieniami i poprawkami aż do utworzenia i ustanowienia Kanonu; w taki więc sposób w nich zaledwo słaby i niepewny mógł się przechować ślad nauki Chrystusa".

XVI. „Opowiadania Jana nie jest właściwie historją, lecz mistycznym rozważaniem Ewangelji; zawarte w jego Ewangelji przemówienia, są to rozmyślania teologiczne o tajemnicy zbawienia, pozbawione prawdy historycznej."

XIX. „Ekzegeci innowierców wierniej przedstawiają istotę rzeczywistą Pisma Świętego, niż ekzegeci katoliccy".

XXII. „Dogmaty, które Kościół uważa jako objawione, nie są to prawdy z nieba spadłe, lecz swego rodzaju objaśnienia zjawisk religijnych, jak je umysł ludzki pojął po długich dociekaniach".

XXVIII. „Podczas swego wystąpienia Jezus w swych przemówieniach wszelakich nie miał na celu wykazywania, że on sam jest Mesjaszem, i jego cuda nie dowodziły tego".

XXXI. „Chrystologja Pawła, Jana, Soboru Nicejskiego, Efeskiego i Chalcedońskiego nie jest wcale nauką Jezusa, lecz wyraża pojęcia o Jezusie, wytworzone przez uczucie chrześcjańskie".

XXXVI. „Zmartwychwstanie Zbawiciela nie jest właściwie faktem historycznym, lecz należy do rzędu zjawisk czysto nadnaturalnych, ani udowodnionych, ani mogących być udowodnionymi, które uczucie chrześcjańskie z innych wyprowadziło faktów".

LIII. „Ustanowienie Kościoła nie jest niezmienne; społeczeństwo Chrześcjańskie jak i wszelkie inne społeczeństwa ludzkie, jest podległe stałemu rozwojowi".

LV. „Szymon Piotr nigdy nawet sam nie podejrzewał, by mu Chrystus dał pierwszeństwo (primatum) w Kościele".

LVI. „Kościół rzymski stanął na czele wszystkich innych Kościołów nie wskutek specjalnych wyroków boskiej Opatrzności, lecz — zbiegu wypadków czysto politycznych."

LVII. „Kościół staje się wrogiem rozwoju nauk przyrodniczych i teologicznych".

LVIII. „Prawda (raczej to, co nazywamy Prawdą) nie bardziej niż człowiek niezmienna: rozwija się bowiem z nim, przez niego i w nim (quippe quae cum ipso, in ipso et per ipsum evolvitur).

LX. „Nauka Chrześcjańska była w swych początkach judaistyczną, wskutek łańcucha ewolucji (per succesivas evolutiones) następnie stała się paulińską, zatym — janową, nakoniec — grecką i powszechną".

LXI. „Zupełnie stanowczo twierdzić można, że żaden rozdział Pisma Świętego, począwszy od Księgi rodzajów aż do Objawienia (nullum caput, a primo Genesis ad postremum Apocalipsis) nie zawiera tego, co, że zawiera, twierdzi Kościół; przeto żaden rozdział niema tego znaczenia dla krytyki, jakie dla teologa".

LXIII. „Kościół nie jest zdolny ochraniać skutecznie moralności, ponieważ uporczywie się trzyma niezmiennych doktryn, nie mogących się pogodzić z obecnym postępem".

LXIV. „Postęp nauk wymaga, by zostały zmienione pojęcia Chrześcjańskie o Bogu, Stworzeniu Świata, Objawieniu, o osobie Słowa wcielonego, odkupieniu".

LXV. „Katolicyzm dzisiejszy nie może się zgodzić z dzisiejszą nauką, jeśli się nie przeistoczy (nisi transformetur), w jakiś Chrystjanizm bezdogmatyczny, to jest — w protestantyzm szeroki i liberalny".

Wyznawanie przez katolików tych twierdzeń, bądź to w całości, bądź też częściowo tylko, pociąga za sobą potępienie wyznawających i ich z grona wiernych wykluczenie.

Historycy nazywają Dekret *Lamentabili sane exitu* Syllabusem Piusa X. Na taką nazwę ten Dekret zasługuje całkowicie. Zachodzi wszelako między tymi dokumentami i pewna różnica. Dekret stanowi dalszy stopień w kierunku przez tamten Syllabus zaznaczonym.

(c. d. n.). *I. Radliński.*

BELETRYSTYKA.

Wizja Sądu Ostatecznego.

I.

...Tra—ta—ra—ha—ra!

Słuchałem, nic nie rozumiejąc.

...Hua—ra—ra—ra—ra!

— Boże! — zawołałem, dźwigając się ze snu. — Co za piekielny hałas!

.. Ha ra ra ra ra... Tarararara.

— A toż obudziłby się od tego nawet... — zacząłem, lecz przerwałem sobie nagle.

— Gdzież to ja byłem?

...Tarararara!...

Grzmot wzmagał się znowu.

— Jeszcze jeden, widocznie, wynalazek, aby...

...Tu ra—hu—ta—ra—ra!

— Jakiż ogłuszający zgiełk!

— Nie! — rzekłem. starając się mówić bardzo głośno, aby się słyszeć. — To być masi trąba Zmartwychwstania!

...Tu—u—hu.,. Rrrra!

II.

Ostatni odgłos wygarnął mnie z grobu, jak kiełbia, chwyconego na wędkę.

Nagrobek mój, — mały, nędzny pomnik, — chciałbym wiedzieć, kto go budował! — stary wiąz, wyrosły na mogile oraz perspektywa na morze, wszystko to rozwiało się jak mgła, i tłumy nieprzeliczone stanęły mi w oczach: ludy wszystkich narodowości i wszystkich języków, pokolenia wszystkich wieków, zajmujące amfiteatr tak ogromny jak niebo. A zaś przed nami, na tronie z błyszczącego obłoku zasiadał Pan Bóg, otoczony zastępami aniołów. Poznałem Azraela po smagłej skórze, Michała po wielkim mieczysku, Archanioł-zwiastun zaś trzymał jeszcze trąbą podniesioną w swych ręku.

III.

— Gwałtowne było to Wielkie Przebudzenie! Nazbyt gwałtowne! — zauważył jakiś osobnik mały, stojący obok mnie. — Czy spostrzegasz pan Anioła z Księgą?

Pochylał się i wyciągał szyję, aby lepiej widzieć pośród dusz, dokoła nas stłoczonych.

— Cała ludzkość tu jest, — ciągnął. — Cała ludzkość!... I niebawem dowiemy się... Patrz pan, oto Darwin? — przerwał sobie na chwilę. — No! ten tu nie wygra napewno! .. A tam, ten jegomość o wyniosłej postawie i poważnym wyglądzie. co stara się zwrócić na siebie uwagę Pana, to jest Książe... Ale jest gromada ludzi, których się nie zna wcale!... Oh! oto Priggles, wydawca... Dodatki do kosztów, które dopisywał za nadmiar korekt próbnych, zawsze budziły we mnie podejrzenie.. Priggles był oszust!... He, he! zaraz dowiemy się całej prawdy o jego rachunkach... Czeka mnie ucieszne widowisko, i będę się bawił doskonale, nim kolej moja nadejdzie... Moje nazwisko zaczyna się na S.

Zaczął gwizdać wesoło przez zęby.

— Ho! ho! mamy także osobistości historyczne. Patrz pan! Tam stoi Henryk VIII... Lista świadków w sprawie tego pana będzie pokaźna! Ah! co za los; jego rodowe nazwisko jest Tudor, więc stanie przed sądem już po mnie.

Zniżył głos niespodzianie

— Zauważ pan ten typ, stojący tuż przed nami: widzisz? ciało jego pokryte włosami!... Okres kamienia łupanego, rozumiesz pan? A tam, cokolwiek niżej i dalej ..

Ale ja nie słuchałem już, zważając jedynie na słowa Pana.

IV.

— Czy już wszyscy? — zapytał Wszech-Mogący. Anioł, — stojący przed Księgą, składającą się z niezliczonych tomów, zupełnie jak katalog Książnicy Muzeum Brytańskiego, — puścił wzrok po fali tłumów, jakoby sprawdzając liczbę naszą w okamgnieniu.

— Są wszyscy! — odpowiedział, i dodał: — Boże! jest to drobniutka planeta.

Wejrzenie Przedwiecznego Sędzi spoczęło na nas. — Trybunał otwarty! — obwieścił Wiekuisty.

V.

Anioł przeczytał jedno nazwisko z księgi, nazwisko, którego echa odegrzmiały ku nam z głębokości przestworów. Nie mogłem pochwycić go wyraźnie, gdyż w tejże chwili sąsiad mój zawołał zrywając się z miejsca.

— Któryż to jest?

Zdaje mi się, iż posłyszałem słowo „Achab", lecz nie byłem pewny, czy to jest ów Achab znany z Biblji.

Natychmiast mała czarna istotka na powiewie obłoku stawiona została tuż u stóp Bożych — istotka sztywna, odziana w szaty wspaniałe, z koroną na gło-

wie. Podsądny skrzyżował ramiona na piersiach i zmarszczył brwi.

— Co powiesz? — rzucił pytanie Sędzia, zniżając nań oczy.

Posłyszeliśmy doskonale odpowiedź, tak wyborna była akustyka miejsca.

— Uznaję się winnym!

— Opowiedz, coś uczynił! — rozkazał Pan.

— Byłem królem, wielkim królem, rozpustnym, pysznym i okrutnym. Rozpalałem wojny, pustoszyłem kraje, i budowałem pałace, których kamienie, miast wapna, krwią ludzką były spajane. Słuchaj, o Jehowo! wołania świadków, które podnosi się przeciwko mnie, słuchaj ofiar, które żądają od ciebie pomsty... oto setki i tysiące oskarżycieli, — krzyczał, wyciągając ramiona w naszą stronę. — I gorzej jeszcze! Kazałem schwytać proroka, jednego z Twoich proroków?

— I ponieważ nie chciał pokłonić się mej potędze, trzymałem go na mękach w ciągu czterech dni i czterech nocy, po których skonał. Uczyniłem więcej jeszcze, o Jehowo! Ograbiłem Cię z Twojej czci...

— Ograbiłeś mnie z czci?

— Kazałem samemu sobie oddawać hołdy, do których Ty masz prawo. Niema szkarady, którejbym nie popełnił; niema zbrodni, którąbym nie splamił duszy... I na koniec Tyś mnie, Panie poraził!

Bóg uniósł zlekka brwi.

—...Padłem zabity w bitwie, i oto stoję przed Tobą, skazany na czeluści piekielne... W obliczu Twej wielkości, gardzę wszelkim kłamstwem i wszelką wymówką; nie błagam o Twoją litość, i obwieszczam nieprawości swoje uszom wszystkich ludzi.

Umilkł. Dostrzegałem wyraźnie jego twarz, która zdała mi się blada, straszna, zuchwała i dziwnie szlachetna... Przypomniał mi się Szatan Miltona.

— Prawie wszystko, co powiedział, wyryte jest na obelisku, — wtrącił Anioł, trzymając palec na karcie rozłożonej Księgi.

— W samej rzeczy! — rzekł tyran tonem lekkiego zdziwienia.

Wtym, Bóg schyliwszy się, ujął tego człowieka i, jakoby chcąc lepiej mu się przyjrzeć, zatrzymał go na dłoni swej, gdzie wyglądał jak mały czarny grot.

— Prawdziwie wszystko to uczynił? — zapytał Wszechmogący.

— Poniekąd, tak! — odpowiedział niedbale Anioł.

Skoro oczy me przeniosły się znowu na drobną postać delinkwenta, spostrzegłem, że twarz jego była skażona. Ze szczególną trwogą śledził on Anioła-archiwistę, bojaźliwie osłaniając ręką swoje usta. Drganie kilku mięśni zniweczyło ową postawę zuchwałego wyzwania, którą miał przed chwilą.

— Czytaj! — nakazał sędzia.

I Anioł jął odczytywać szczegółową listę wszystkich występków grzesznika. Była to istotna uczta dla umysłu... cokolwiek gorsząca, miejscami, myślałem sobie, ale przecież spodziewać się tego należało!

VI.

Wszyscy ludzie się śmiali, nawet ów prorok, którego tyran zamęczył. Ten grzesznik był stanowczo niedorzecznym stworzeniem.

— I wtenczas, — czytał Anioł z uśmiechem, który ciekawość naszą zaostrzył, — razu pewnego, kiedy niestrawność nabawiła go złego humoru, począł...

— Oh! tylko nie to! — krzyknął przestępca. — Tylko nie to! Nikt w świecie o tym nie wiedział nigdy. To nie prawda... Byłem potworem nieraz, ale nic tak głupiego, tak bezwzględnie podłego...

Anioł ciągnął czytanie dalej.

— O Jehowo! — błagał grzesznik. — Nie pozwól, aby się to wydało... kajam się... żałuję...

Na dłoni Wiekuistego, potępieniec wił się i płakał. Raptem, wstyd go obłąkał: rzucił się wściekłym pędem aby skoczyć między palcami Boga, atoli Bóg zręcznym ruchem kiści zatrzymał go w porę. Rzucił się jeszcze, lecz palce się domknęły. Tymczasem zaś Anioł nieprzerywał czytania, odsłaniając prawdę o tej duszy ludzkiej. Grzesznik miotał się we wszystkie strony na dłoni niezmiernej, i nagle schronił się w rękaw Pana.

Spodziewałem się, że stamtąd Bóg go wydobędzie, lecz miłosierdzie Boże jest nieskończenie wielkie!

Anioł-archiwista skończył.

— Następny! — wyrzekł Wielki Sędzia, i, nim Anioł imię jakieś wymówił, już na dłoni Pana znalazła się postać włochata i w łachmany odziana.

VII.

— Czyżby Bóg miał piekło w swym rękawie? pytał się mój sąsiad.

— Trzeba naprzód wiedzieć, czy istnieje jakieś Piekło, — odparłem.

— Zestawiwszy jedno z drugim, wedle tego, co widzieć można, nic również nie wskazuje szczególniej, aby istniało jakieś Królestwo Niebieskie, — zauważył mój rozmówca.

— Cyt! — szepnęła nieopodal stojąca kobieta, spoglądając na nas z ukosa. — Słuchajcie, co mówi ten czcigodny święty.

VIII.

On był królem ziemskim, a ja byłem prorokiem Boga Niebieskiego! — obwieścił święty. — I cały naród był olśniony cudem. Albowiem ja, o! Panie, ja znałem chwałę Twego Raju. Bez szemrania, bez skargi, znosiłem katusze, rany mieczowe, drzazgi wbijane za me paznogcie, darcie pasów z mej skóry, przyjmowałem wszystkie cierpienia te na cześć i na chwałę imienia Twego!

Bóg uśmiechnął się.

— Wreszcie, udałem się w podróż, pokrwawiony i w łachmanach, roniąc dokoła woń swoich świętych ran...

Gabrjel nagle nie zdołał opanować śmiechu.

...I stanąłem u bram jego pałacu, jako znak, jako zapowiedź.

— Jako zaraza i plaga, — przerwał Anioł-archiwista, który zaczął czytać, nie dbając, że święty wyliczał dalej chwalebnie brudne swe uczynki, które dla pozyskania Raju spełnił

Z wykazów Anioła wydały się uczynków tych pobudki, i zdumienie powszechne ogarnęło tłumy.

Niebawem, święty jął biegać we wszystkich kierunkach na dłoni Pana; i on także, jął zaklinać i błagać, pod bezlitosną chłostą tej okropnej prawdy; równie jak grzesznik, schronienia poszukał w rękawie Pana. Mieliśmy możność widzieć, co w ciemnościach rękawa tego się działo. Dwaj ludzie siedzieli tam obok siebie, zbywszy wszelkich pozorów, — jak bracia, utuleni w szatach miłości bożej.

Tam i ja również byłem zmuszony się schronić, gdy przyszła na mnie kolej.

IX.

Bóg wytrząsnął nas ze swego rękawa na planetę, przeznaczoną nam za siedzibę nowego istnienia; planeta owa jako słońce miała zieloną gwiazdę Syrjusza.

— Teraz, — rzekł, — gdy mnie już znacie lepiej, i lepiej się między sobą rozumiecie. . rozpoczynajcie nową próbę.

On i aniołowie jego znikli natenczas w przestrzeni, lecz świetlista radość ich śmiechu rozbrzmiewa jeszcze w mych uszach.

* * *

Dokoła mnie rozciągała się kraina niezwykle piękna, stokroć piękniejsza, niźli wszystko, co mogłem widzieć na ziemi, kraina dziewicza i surowa, lecz piękna, i otaczały mnie dusze ludzi odrodzonych, wcielone w postaci miłe dla oka.

H. G. Wells (tłom. *J. Pomirski*).

KRYTYKA.

B. Waśniewski: **Byt i warunki robotników w przemyśle cukrowniczym Królestwa Polskiego.** Dane ankiety związku zawodowego robotników cukrowni Królestwa Polskiego.

Warunki pracy i położenie klasy robotniczej w kraju naszym są dotychczas mało zbadane. We wszystkich pracach, zahaczających o stosunki robotnicze, poprzestawano na danych, zebranych drogą urzędową, często szczupłych i niewystarczajacych, lub co gorsza, zgoła fałszywych, nieumiejętnie i bez żadnej metody zebranych. Dlatego z wielkim uznaniem należy podkreślić wartościową pracę B. Waśniewskiego, który w swym dziele ogarnął cały splot stosunków prawno-ekonomicznych i kulturalnych wśród robotników, zajętych w przemyśle cukrowniczym. Materjał czerpał autor z badań, podjętych drogą ankiet przez Zarząd Związku Zawodowego Robotników Cukrowni Królestwa Polskiego. Podjęcie tych badań zasługuje na wielką uwagę, gdyż w bilansie naszej produkcji krajowej cukrownictwo zajmuje jedno z pierwszych miejsc. Rozwinięta i rosnąca wciąż w znaczenie gałąź ta przemysłu jest ponadto rdzennie krajowa, skupiającą wyłącznie miejscowe kapitały, najbardziej związane z rozwojem i postępem kultury rolnej.

Rozwój stosunków robotniczych w naszym przemyśle jest żywym stwierdzeniem, tego jak powoli przekształcają się normy prawne pod naciskiem wymagań samego życia, jak powoli podąża nadbudowa prawna za całością zmian elementarnych. Podstawą społecznych stosunków w przemyśle cukrowniczym, jak twierdzi Waśniewski, są do dziś dnia przeżytki najdawniejszego okresu produkcji domowej, związanej z pracą pańszczyźnianą, bądź też stosunki te sięgają okresu złotych pierwocin kapitalizmu, gdy robotnik był ślepym narzędziem produkcji.

Przemysł cukrowniczy nie zatracił nic ze swego charakteru przemysłu, związanego z produkcją i stosunkami rolnymi, pomimo przewrotu, dokonanego przez lata rewolucyjne, zachowuje odrębną atmosferę wiejskich stosunków. Stosunki najmu są wiejskie i nieprzejrzyste. Robotnicy dzięki specjalnym warunkom (posiadanie gruntu, mieszkanie, deputaty) odznaczają się małą ruchliwością, emigracja i imigracja jest b. nieznaczna. Siedzą kupą rodzinami i tym mocniej czują się przymocowani do danej cukrowni. Tymi cechami tłómaczy autor odosobnienie cukrowni, brak łączności między robotnikami oddzielnych fabryk.

Nowe czasy wniosły trwały rozdźwięk, życie zaprzeczyło uroczystym obietnicom. Bo w parze z przeświadczeniami w nowożytnym układzie stosunków szły marne plany, niezabezpieczenie starości, masowe wydalania robotników. Miast zaufania i wdzięczności dojrzewa świadomość przeciwieństw klasowych.

Jako wyraz zbiorowych dążeń klasy przemysłowców powstaje Związek Zawodowy cukrowni, mający na celu „obronę interesów przemysłu na zewnątrz i na wewnątrz", z drugiej strony powstaje Związek robotników cukrowni, czynnik nader doniosły w ruchu robotniczym.

Lata rewolucyjne przeobraziły znacznie stosunki w przemyśle cukrowniczym i przyniosły klasie robotniczej znaczną poprawę warunków bytu. Okres ten jednak szybko przeminął, ruch robotniczy osłabł, przybrał nowe formy. Wtenczas na widownię wystąpił Związek robotników cukrowni, który odrazu stał się ośrodkiem skupienia sił. Obronne stanowisko interesów robotniczych i akcja ku wyrównaniu płacy i pracy w cukrowniach sprawiły to, że fala pogarszania warunków pracy nie dokonała tutaj takich spustoszeń, jak w tych gałęziach przemysłu, gdzie proletarjat nie mógł się oprzeć na żadnej własnej organizacji.

Postępując dalej za autorem, przystępujemy do obliczenia armji robotniczej, zajętej w przemyśle cukrowniczym. Statystyka ta jest niezmiernie utrudniona, gdyż cukrownictwo jest pracą sezonową, ilość robotników nie jest przez rok cały stała i podlega znacznym wahaniom. Stąd też dla ustalenia liczby zatrudnionych, należałoby brać cyfry z różnych pór roku, odpowiednio do zmieniających się zajęć fabrycznych. Drugą sprawą utrudniającą jest wogóle nieustalenie w pojęciach fabrycznych, kogo z robotników uważać za sezonowego, a kto jest stałym. Tym należy tłumaczyć rozbieżność i niejednakowość danych urzędowych ministerjum finansów i danych ankiety.

Podług danych urzędowych w latach 1907—1908 zatrudnianych było w cukrownictwie Królestwa Polskiego 19,1 tysięcy robotników, co stanowi przeciętnie na 1 fabrykę 397 robotników. Charakterystycznym jest rozwój w poszczególnych gubernjach. W gub. Warszawskiej widzimy wyraźną tendencję zmniejszenia się ilości robotników, co przy jednoczesnym wzroście produkcji tej gubernji, świadczy o doskonaleniu technicznym, ograniczającym posiłkowanie się siłą ludzką. W gub. Lubelskiej, Płockiej i Radomskiej daje się obserwować zgoła inny kierunek, co mówi o pewnej ekstensywności gospodarczej.

Z zestawienia robotników stałych i niestałych w r. 1908 wynika, że liczba stałych robotników w rafinerjach wynosi 28 proc.; gdy kostkownie i mączkownie wykazują tylko 23 proc. i na jedną rafinerję podczas kampanji przypada robotników 654, a na jedną mączkownię 349, na kostkownię 482, przytym stałych przeciętnie po 181 w rafinerjach, po 79 w mączkowniach i 113 w kostkowniach.

Kobiety tworzą wśród sezonowych 15 proc., pracują prawie wyłącznie tylko podczas kampanji.

Zródła, skąd czerpie cukrownia sezonową siłę roboczą, są bardzo różne i dla każdej niemal cukrowni inne, ale są nimi przedewszystkim bezpośrednie okolice wiejskie. Społeczne rozgrupowanie sezonowych robotników wyraża się następująco:

gospodarzy samodzielnych	51 proc.
komorników	48 „
rzemieślników	1 „

Wśród pracujących gospodarzy przeszło $^2/_3$ są to małorolni.

Dla robotników sezonowych zajęcie w cukrowni jest tylko zajęciem ubocznym, które ma dopełniać ich zarobki, osiągane bądź przez rolnictwo, bądź z pracy sezonowej letniej w miastach czy na wsi.

Pracownicy w cukrowni nie tworzą jednej jakiejś warstwy, owszem, wyraźnie da się zauważyć kilka kategorji, kilka nawarstwień w zależności od stanowiska, wykwalifikowania, płci i wieku. Przy pomocy powyższych cech da się oddzielić kilka wyraźnie odrzynających się wzajem grup, mianowicie: majstrów i dozorców, pomocników warsztatowych, robotników niewykwalifikowanych, wreszcie robotnic—kobiet i robotników młodocianych.

Wzajemny ich stosunek procentowy przedstawia się następująco:

Majstrowie	15 proc.	
Pomocnicy warsztatowi	5,6	"
Robotnicy niewykwalifikowani	65.3	"
Kobiety	5,1	"
Robotnicy młodociani	9	"

Rysem zasadniczym, cechującym strukturę zawodową cukrowni jest zmienność zajęć, wykonywanie dwuch i trzech czynności przez każdego stałego pracownika.

(d. n.) *Piotr Zubowicz.*

NA DOBIE.

Epilog czy wstęp?

Poznaliśmy wreszcie *istotne* wyniki badań komisji, sprawdzającej zbiory i zabytki Muzeum Narodowego na Zamku Rapperswilskim.

Komisja stwierdziła:

1) niezgodność ustawy z aktem fundacyjnym;

2) bierność Rady muzealnej, a właściwie delegacji paryskiej, wobec gospodarki kustosza;

3) braki i niewłaściwości w ustawie, jak np. zbieżność w jednej osobie urzędników ze swymi zwierzchnikami (prezes i dyrektor w jednej osobie, kustosz i członek Rady);

4) nieprzyjmowanie przez kustosza pism postępowych;

5) zwolnienie bibljotekarza p. W. Karczewskiego bez zdania bibljoteki swemu następcy;

6) niedostateczna kontrola nad opłatą za wejścia;

7) karygodna sprzedaż przedmiotów muzealnych, jak sprzedaż dubletów bez odpowiedniej kontroli p. Iglowi, antykwarjuszowi ze Lwowa w r. 1903 i p. dr. M. Sokolnickiemu 30 skrzyń dubletów, wśród których znajdowała się kronika Stryjkowskiego z r. 1582 znacznej wartości, razem za śmieszną cenę 500 franków; wreszcie sprzedaż przeszło 500 sztychów p. Wilderowi, antykwarjuszowi z Warszawy za sumę 475 franków; śród sztychów tych znajdowały się i sztychy Falka cenione po 25 franków za sztukę;

8) sfałszowanie nazwiska H. Bukowskiego przez kustosza na swoje w księdze darów;

9) brak planu naukowego w układzie zbiorów;

10) brak bezpieczeństwa ogniowego;

11) umieszczenie przez kustosza na białej powierzchni portretu akwarelowego, napisu atramentem: „Józef Poniatowski", — na domiar czego portret wcale nie wyobraża Poniatowskiego;

12) wystawienie przez kustosza swoich robót, które w żadnym razie do Muzeum się nie nadają;

13) zniszczenie adresu złożonego Polakom w hołdzie przez Anglików, która to strata nastąpiła wskutek rozpięcia adresu w kształcie wachlarza i przybicia go gwoźdźmi do ściany;

14) opieranie obrazów na podłodze;

15) przytwierdzenie blaszki z napisem wprost na płótnie obrazu Gotlieba;

16) pomalowanie na kolor terakoty gipsów Brodzkiego;

17) ubolewania godny fa.. wymalowania ścian Muzeum wewnętrznych freskami przez zwyczajnego malarza niemieckiego, nie zaś przez malarzy polskich, którzy byli pod ręką w Paryżu;

18) błędy ortograficzne na kartkach, objaśniających przedmioty, pisanych przez kustosza.

Nadużycia powyższe, fakty potworne w swej istocie, komisja starała się przedstawić w świetle okoliczności łagodzących, aby osłabić wrażenie, jakie wywrzeć muszą na każdym w kim nie wygasł jeszcze duch publiczny.

Nie będziemy śledzić frazeologji, w której plącze się ich pełna wykrętów obrona, a raczej chęć bronienia Rady. Skład osobisty komisji, w której znaleźli się ludzie po części nie budzący ufności w swą bezstronność, po części zaś wprost wzbudzający otwartą ku sobie nieufność ze strony społeczeństwa, jako współwinni nadużyć zarzucanych dyrekcji muzealnej, nie może dawać nam najmniejszej rękojmi co do słusznego i sprawiedliwego rozstrzygnięcia sprawy.

Istotnie, już z pierwszego wejrzenia, rzucają się w oczy luki poważne, *przemilczenia wymowne* na owej liście nadużyć.

Zarzuty Br. Gembarzewskiego, naprzykład, cenionego znawcy wojska polskiego, zostały w sprawozdaniu komisji zupełnie pominięte: z niewinną przewrotnością, zakwalikaowano je, jako *cenne uwagi.* A przecież p. Br. Gembarzewski dowiódł ze ścisłością matematyczną, że wystawione i kupione przez kustosza czako ułańskie nadaje się jedynie do garderoby teatralnej; że konserwacja mundurów zostaje niżej wszelkiej krytyki, że dzięki niej wiele mundurów uległo niepowetowanemu zniszczeniu przez mole; że do mundurów przyszywane bywały guziki nieodpowiednie; że mundur generała portugalskiego, aczkolwiek Polaka, do zbiorów w Muzeum się nie nadaje, jeśli to Muzeum ma być narodowym polskim, nie zaś prywatnym dla zbiorów familijnych; że sztandary i chorągwie poniszczone zostały przez nieumiejętne z nimi obchodzenie się, mianowicie: przybijanie gwoźdźmi do ścian i składanie fałd i draperji, co spowodowało, że malatury na sztandarach (np. sztandar darowany Polakom przez Amerykanów), popękały i uszkodzone zostały znacznie przez odpryśnięcie farby na zgięciach fałd. Tych wszystkich i innych faktów komisja nie uznała za właściwe podnieść w swym memorjale; pominęła również zarzuty znanego momizmatyka, p. Plage'go w dziale numizmatyki, pod względem wystawienia i układu starych monet i medalów, które nie są nale życie usystematyzowane i skompletowane.

Wobec tak doniosłych przemilczeń, jakież mieć może dla ogółu znaczenie memorjał komisji?

Odpowiedź jest jedna, oczywista.

Lista nadużyć *ujawnionych* przez komisję wobec ogromu nadużyć, przez tęż komisję *osłonionych*, jest dla nas tylko próbą tego, co rewizja należyta wykryć by mogła i musiała; to nie jest oczyszczenie się sumienia Rady muzealnej przez spowiedź publiczną swych grzechów, to tylko jest uchylenie rąbka zasłony na obszar jej znieprawienia i samowoli. I tak też ów memorjał traktować będziemy.

Ale gdybyśmy nawet do listy zarzutów, stwierdzonych przez komisję w jej memorjale, dodali zarzuty, stawiane przez p. Gembarzewskiego i p. Plage'go, równie ciężkie jak uzasadnione, to i wówczas nie mielibyśmy jeszcze całkowitego obrazu spustoszeń dokonanych w Muzeum przez gospodarkę jego zarządu.

Albowiem wszystkie te zarzuty dotyczą uszkodzeń, profanacji, fałszerstwa lub zniekształcenia przedmiotów istniejących, zbiorów które przetrwały, zatrzymując tylko na sobie ślady barbarzyńskiej opieki. Tu każdy okaz uszkodzony nosił na sobie historję nadużyć, jakim ulegał, sam stając się potwierdzeniem zarzutów.

W jakiż, atoli sposób stwierdzić, wobec kompletnego braku dokładnych inwentarzy i opisów, niszczenie zbiorów, wielokrotne wypadki bezpowrotnej zagłady przedmiotów? W jakiż sposób udowodnić w tym względzie przestępstwo zarządu, skoro wraz ze zniknieniem przedmiotu znikały ślady przestępstwa?

I tu kryje się źródło rzekomej niespodzianki, że

ci właśnie, śród oskarżycieli, którzy najcięższe postawili zarzuty, nie mieli możności ich udowodnienia!

Kiedy Stefan Żeromski zeznawał, że na własne oczy oglądał zrujnowane szczątki maszyny Baranowskiego, oddanej Muzeum, jako pokład, pokazano mu aż trzy maszyny różne, chcąc obalić zarzut. A gdy ktoś złośliwy wyszukał w inwentarzu czwartą, tę właśnie, o którą chodziło, pokazano Żeromskiemu pudło jednej z tych maszyn, wmawiając weń, iż to jest owa czwarta, zgodna z inwentarzem, pozycja.

Podobnież ze sprawą zniszczenia zbiorów Leonarda Chodźki. Na postawiony przez St. Żeromskiego zarzut, komisja stwierdziła istnienie 8 grubych woluminów wycinków jakichś gazet, z których niektóre były w obwolutach. Żeromski atoli zarzutu nie cofnął, jak to błędnie niektóre pisma podały; wyraził się tylko, iż czuje się szczęśliwy, jeżeli komisja uważa, że zbiory nie zostały zniszczone. Czy jednak zbiory owe znajdują się w całości, jak były dane, czy część ich, rzeczywiście, nie uległa zagładzie, co równałoby się zniszczeniu zbiorów? — Tych obaw komisja nie rozproszyła, bo, dla braku inwentarzy, sprawdzić całości nie mogła. Lecz w takim razie ogół przyznać musi, iż Żeromski miał prawo zarzut stawić i miał obowiązek go utrzymać.

Niema też mowy o jakimkolwiek ostatecznym rozstrzygnięciu „sprawy rapperswilskiej". Zjazd, który się odbył niedawno, to nie Epilog, to dopiero wstęp do akcji, jaką rozwinąć winna opinja społeczna, celem zorganizowania prawidłowej kontroli nad gospodarką mienia narodowego.

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

* *Jeż o Rapperswilu.* W liście nadesłanym do *Słowa Polskiego,* Jeż mówi z wielką goryczą o zemście rady muzealnej, która nietylko pozbawiła dwóch przywódców opozycji tytułu członków-korespondentów, lecz zakazała wpuszczać do muzeum pp. Karczewskiego, Szpotańskiego i Sokolnickiego.

> To ostatnie, doprawdy, barbarzyństwem pachnie w odniesieniu do wszystkich trzech, ale zwłaszcza do Michała Sokolnickiego, wypróbowanego już, ale zaszczytnie, w pracach historycznych gromadziciela materjałów do tak ważnej i tak potrzebnej „Historji emigracji polskiej".
>
> W świecie ucywilizowanym zbrodniarzowi nawet nie zabronionoby wstępu do przybytku nauki, w którymby on z korzyścią dla społeczeństwa pracował. W sprawie zaś handlu dubletami zbrodniarzem być nie może ten, co kupił, ale ten, co sprzedał. To jasne. Co do tego nie pomogą żadne przyjacielskie względy i względziki, osłaniające winowajcę prawdziwego...
>
> Zwyczajne zaślepienie w połączeniu z osobistościową, niedozwoloną ludziom kulturalnym mściwością, przejawiły się bez względu na pożytek publiczny. Bezwzględność ta nie oszczędziła nawet fachowca, Urbańskiego, młodego człowieka, dymisjonowanego dlatego, że był nie sługusem, ale urzędnikiem, sumiennym i w fachu biegłym. Cała sanacji nadzieja spoczywa w komisji, powołanej do zmienienia ustawy wadliwej.

Osławione „dublety" stały się dla zarządu Muzeum prawdziwą deską ratunku. Przeciwko wszelkim zarzutom ze strony oskarżenia, zarząd osłania się, niby tarczą, faktem zakupu dubletów przez pana Sokolnickiego, z rzekomym uszczerbkiem dla majątku Muzeum. W rzeczywistości atoli jest to tarcza z pajęczyny; przysłowiowa zaś deska ratunku w rękach zarządu zmienia się w równie przysłowiową brzytwę, chwyconą przez tonącego. Istotnie pan Sokolnicki chciał nabyć zbiory owych dubletów; sądził, iż może zapłacić za nie sumę taką a taką; jest historykiem kupował je nie na handel, ale dla własnych celów naukowych; w jego posiadaniu byłyby one równie pewne i zabezpieczone, jak w posiadaniu muzeów i bibljotek publicznych; o fakcie kupna i posiadania przezeń rzeczonych dokumentów wiedziałby kraj cały, t. j. ogół historyków, zainteresowanych tą właśnie kategorją źródeł. Jak nam wiadomo, w sprawie kupna tych samych zbiorów, które takim ciężkim głazem przewinienia padło pod stopy p. Sokolnickiego, traktował przed paru laty p. Artur Śliwiński, znany autor cennej monografji historycznej o Maurycym Mochnackim. Miał on możność nabycia owych dubletów za cenę o wiele nawet niższą od tej, jaką w następstwie ofiarował p. Sokolnicki. Ten ostatni powziął myśl zakupu dubletów właśnie na skutek informacji pana Śliwińskiego, który od zamierzonej tranzakcji odstąpił, przewidując wielkie trudności na granicy podczas transportu zbiorów do Królestwa. Szczegóły te już podczas rozpraw rapperswilskich i po wszczęciu naganki przeciwko panu Sokolnickiemu, zakomunikowane nam zostały przez pana Śliwińskiego, który projektu swej tranzakcji nie uważał i nie uważa bynajmniej za akt ujemny, za sprawę, którą należałoby, w osobistym interesie, taić. Nie taił jej też p. Sokolnicki I trzeba na to złej woli i wiarołomnej przewrotności *Gazety Warszawskiej*, aby podawać w wątpliwość czystość jego zamiarów lub pobudek w tej sprawie Nieskazitelna i wzniosła szlachetność ludzi tej miary, co Stefan Żeromski i Michał Sokolnicki pozostanie poza polem wszelkich podejrzeń. Ludzie miary takiej, jak oni, nie tylko dźwigają naukę i literaturę, ale zbogacają właśnie te muzea i biblioteki, które wy, ojczymowie narodu, rujnujecie, zbogacają je, przekazując po śmierci instytucjom publicznym zbiory własne, nieraz kosztem dostatku i zdrowia gromadzone! Z ich to wysiłku i krwawicy powstają owe wielkie spichlerze pracy narodowej, na której wy, pasorzyci, później żerujecie! Któż to wy jesteście, szanowni prorocy gniewu, wieszcze oburzenia? Jeden, z pośród was, najgłośniejszy, usunął się przed tygodniem z Rady rapperswillskiej, widząc, że w Skarbie Narodowym nie pozostało już ani grosza do rabunku. I wy-ż to, wy, rabusie mienia publicznego, śmiecie znieważać i oszczerstwa ciskać na ludzi, pełnych zaparcia i poświęcenia, w służbie narodowej? Doprawdy, tylko świeżo spoliczkowany bankrut zdobyć się może na cynizm podobny.

* Numer 180-y *Kurjera* z Lublina niesie nam żywo napisany artykuł wstępny p. n.: „Zjazd prasy prowincjonalnej".

Myśl tę rok temu rzuciła na swych łamach *Gazeta Kujawska*, aż niedawno sprawę tę njął w swe dłonie ruchliwy *Kurjer Zagłębia*, który stworzył „biuro zjazdu", a to ze swej strony rozesłało do redakcji pytajnik w sprawie zjazdu — będącego na czasie ze względu na przypadającą obecnie 250-tą rocznice naszego dziennikarstwa.

Autor artukułu nadewszystko jest przeciwny temu, iżby zjazd zwoływać, jak projektuje *Kurjer Zagłębia*, w siedlisku świętych Macochów w Częstochowie, z jej cuchnącą atmosferą klerykalną, oto słowa autora:

> Częstochowa wydaje nam się z wielu względów źle wybranym punktem na zjazd; 1) leży na krańcu Królestwa; 2) ma wspomnienia historyczne fałszywej wartości, boć w legendę o „bohaterskim przeorze", dziś nikt z ludzi oświeconych już nie wierzy, a skandale jasnogórskie aktualne mogą chyba pociągać rozmiłowanych w sensacji reporterów, więc i ten drugi wzgląd upada. Istnieje wzgląd trzeci, ilościowo pokaźna reprezentacja prasy prowincjonalnej w ziemi piotrkowskiej, ale „Kurjer Zagłębia" zahypnotyzowany urokiem wspomnień historyczno-klerykalnych Częstochowy, wymieniając 7 pism piotrkowskich, nie robi między nimi niezbędnego, zdaniem naszym doboru i razem łączy pisma przez ludzi świeckich wydawane, z tymi, jakie wydają księża.

Następnie kwestjonarjusz donosi, iż zjazd będzie miał na celu: „Dzieje dziennikarstwa polskiego, dzieje zjazdów dziennikarskich zagranicą" i t. d. Samiuśkie dzieje... a o wartkim toku życia, wymogach teraźniejszości i potrzebach finansowych (bo te najbardziej chyba gryzą dziennikarstwo nasze) czy innych milczy zaklęcie.

Szłusznie tedy przeciw temu klerykalnemu i od obrania miejsca aż do planu obrad — historycznemu charakterowi zjazdu — występuje ostro autor artykułu, motywując to tym, iż obecnie musimy: „sobie uświadomić nasze obowiązki wobec społeczeństwa i zważyć siły na zamiary", a nie wyłącznie oddawać się tchnącym brakiem żywotności rozprawom z dziedziny dziejoznawstwa.

Artykuł kończy się w ten sposób.

Musimy dalej, jeśli żyć chcemy po ludzku, a nie wegietować jak literacki lumpenproletarjat dotychczasowy, obmyślić środki egzystencji zarówno dla pism jak i dla współpracowników, bo ludzie przymierający głodem, pobudzający swą twórczość wątpliwej wartości podnietami, nie stworzą nigdy żywotnej, tęgiej w swym wyrazie prowincjonalnej prasy.

* *Kurjer Poranny* w ubiegłym tygodniu umieścił wiele mówiący przyczynek do działalności prawdziwych katolików we Włocławku.

Oto jego słowa.

ŻEROMSKI NA INDEKSIE.

W Włocławku przy ul. Brzeskiej powstała nowa bibljoteka i czytelnia. Na ostatnim zebraniu członków związku katolickiego postanowiono obojętnie zachowywać się, a nawet ignorować powstałą placówkę oświatową, dopóki z półek bibljoteki nie wywędrują dzieła Żeromskiego i tym podobne pisma przeciwkatolickie. Zarząd bibljoteki przelękł się tego ostracyzmu, no i ustąpił. Wymowne!

A więc zwalczaniem dzieł znakomitego pisarza polskiego doby obecnej panowie związkowcy chcą „pogłębić" wiarę katolicką śród mas kujawskich.

* Ciekawe nader rzeczy obrazujące rozwój wsi polskiej — podaje p. St. Poraj (w *Kurjerze Lubelskim*).

Mimo destrukcyjnej działalności kleru i wszelakiego rodzaju wsteczników — poglądy społeczne, religijne i polityczne polskich wieśniaków coraz to snadniej naginają się ku zdrowym i twórczym wiewom myśli nowoczesnego postępu...

Najprzedniejszym przedstawicielem tych chłopów budzących się z wiekowej drzemiączki jest pono — nowy typ śród polskiej wsi — współczesny parobczak.

Na dnie tej duszy „bandosa" spoczywają drogocenne skarby: chęć użyteczności ogólno-społecznej, krytycyzm, namiętne ukochanie wiedzy, tężyzna moralna (w parze z cielesną) której tak brak innym warstwom, zapał szczery ku wszystkiemu co piękne, dobre i mocne duchem, nakoniec silne zrozumienie i umiłowanie swobody, czyni to wszystko z naszej parobczańskiej młodzi żywioł obiecujący na polu demokracji i kultury.

Przekonać się o tym można zajrzawszy na łamy dodatku młodzieży przy ludowo-demokratycnym *Zaraniu*. Nosi on nagłówek *Świt* czyli „Młodzi idą"... Z tych trudów i prac młodzieńczych bije rzeźkość, umiłowanie nowego, dotąd nieznanego im zgoła bytowania, biorącego w posiadanie to — co człowieczeństwo drogocennego dać może, a więc wiedzę, kulturę, uobyczajenie i hasło „per aspera, ad astra"!

Więc jeśli chcecie tworzyć zastępy nowych światłych czytelników *Świtu* i jego pisarzy — ślijcie wszystko co śród młodzi wsi polskiej zdrowego duchem do rolniczych uczelni, które już dźwignęła w Królestwie twórcza praca obywatelska, i do polskich szkół średnich, aby narodowi naszemu przysporzyć pracowników hartownych z chłopskimi dłońmi i polską duszą na wyższych szczeblach pracy społecznej.

* *List otwarty do Sejmu Lwowskiego.* Pod takim nagłówkiem zawiera artykuł ostatnia dekada *Myśli Niepodległej*. Artykuł pióra pana A. N. pisany kosztowną dawnych wieków polszczyzną, jest nietylko wybitnym dziełem rozumowanej publicystyki, ale zarazem pewnego rodzaju kompozycją artystyczną. Stanowi on cenny współodpowiednik do pamiętnego, znanego czytelnikom *Prawdy*, artykułu p Czesława Jankowskiego, z niepospolitą charakteryzującego przenikliwością przyczyny upadku Demokracji Narodowej na gruncie Królestwa.

Artykuł *Myśli Niep.* przenosi nas do zaboru austrjackiego. Jako niesłychanie zwarta, mistrzowska synteza niedoborów kulturalnych polityki sejmowej w Galicji, zasługiwałby na przedrukowanie w całości. Przytaczamy zeń wyjątki. Autor, wykazując brzemię odpowie dzialności, jakie nsedostrzegalnie dla wielu ciąży na izbie poselskiej. odpowiedzialności wobec narodu i przyszłych jego losów, temi słowy zwraca się do przedstawicielstwa narodowego we Lwowie, w osobie jego prezydenta.

Aczkolwiek, Panie Marszałku, laska Twoja Sejmowi prezyduje, nie jest już dla nikogo tajemnicą, że tylko fizycznie ją dzierżysz: ręka psychiczna, która na niej spoczywa, staw swój ma na Watykanie. O tyle tylko wolno ci dbać o losy narodu, o ile to nie stanie w sprzeczności z interesami państwa w państwie, czyli ziemskiej instytucji kościoła rzymsko-katolickiego. Sprawy, jak się to mówi, religji, a jak się mówić powinno, masonerji katolickiej, stawiasz wedle formuły zaleconej nad wszelkie sprawy narodowe. Idea Skargi, zwanego przez rówieśnych głównym rzeczypospolitej wichrzycielem, Tobie przyświeca. Mniejszą wedle tego sławnego jezuity wartość ma ojczyzna doczesna, niźli niebieska, zaś ona niebieska — co tu ukrywać — z kolegjum kardynałów się składa pod prezydencją papieską. Że nie Duch Święty obiera papieżów, ale przekątna równoległoboku polityki europejskiej, wiesz, Panie Marszałku, najlepiej, gdy przy ostatnich wyborach głowy kościoła krakowski kardynał Puzyna zbyt skandalicznie sięgnął po atrybucje, Duchowi Świętemu przypadające. I oto sam on nam ukazał, iż państwo austrjackie w chwilach dla siebie ważnych umie rękę nawet swoich kardynałów położyć na kościele i supremację swoją nad nim zamanifestować. Inaczej jednak ten sam kardynał postąpi, gdy będzie chodziło tylko o jego naród. Zamknięcie przez niego wieszczowi narodowemu bramy Wawelu Twej, Panie Marszałku, dumy narodowej nie obraziło. Otwarte dla proboszcza poznańskiego mównice wszechnicy Jagiellońskiej Twego veta nie sprowokowały. Konfiskaty niemiłych dla duchowieństwa rzymskiego książek polskich spokojności Twojej nie zamąciły. I oto patrzy na Ciebie świat ucywilizowany nie jako na wolnego Izby Polskiej kierownika, ale jako na sługę pokornego sutanny, infuły i kaptura mnisiego.

Gdy wskutek ucisku klerykalnego młodzież akademiczna burzyć się zaczyna, władze krajowe potrafią jedynie w policyjne karby ją ujmować: o duchowym bowiem imponowaniu któż zamarzy, sam ducha nieposiadając? Na ustach profesorów nie zakwitają racje rozumowe; miast nich, byliśmy świadkami odwoływania się senatów akademickich do władz obcych przeciwko własnej młodzieży. Cała teorja poznania zmieniła się właściwie w teorję lawirowania. Jednocześnie zaś w poniewierkę poszła tolerancja. Wydala się ze szkół nauczycieli, jeżeli ich sposób myślenia nie podoba się duchowieństwu.

Polska tolerancja! Ileż to razy słyszymy hymny na jej cześć śpiewane, choć chwalbom tym przeczy oczywistość. Ociągali się nieraz prokuratorowie z konfiskatami, a parły do nich tłumy, przez księży naganiane. Zdejmowały owe konfiskaty pierwsze Waszych sądów instancje, lecz po rozrzucanych proklamacjach „bić takich sędziów" drugie Waszych sądów instancje już je skwapliwie zatwierdzały. Panowie Posłowie! Liberalniejsze są prawa konjunktury austyjackiej, niż Wasze dusze polskie i dusze Waszych wyborców!

Patrzajcie! Oto byłego ministra Chlędowskiego dzieło kapitalne „Rzym" na indeksie. Oto hrabiny Wielo-

polskiej książka skonfiskowana i proces przeciw niej wytoczony, że może pójdzie uświetnić kryminał, gdzie tylu mistrzów ludzkości zgniło. Gdy Zimmermannowie zasiadają w akademjach, samo prawo przyzwoitości kontrastów wyznacza miejsce dla Wielopolskich w kryminale. Na maskaradzie charakterów Heine obrać chciał sobie maskę zbója. Gdy w jakimś kraju kursują Bilety do Raju trzema klasami, muszą „Rzymy“ Chłędowskich uchodzić za bluźnierstwa.

Stwierdzając, że wkroczenie na drogę postępu, kultury i wolnej myśli, w chwili obecnej, tak już okropnie, pod względem dziejowym spóźnionej, staje się dla Polski sprawą życia i śmierci, autor ciągnie dalej:

> Tak, tu chodzi o wybór pomiędzy śmiercią a życiem. Uczcie się historji, Panowie Posłowie! Żaden naród nie uratował swego majestatu, który poddał swą duszę pod jarzmo duszy obcej, aby ciągnął pług cudzej myśli filozoficznej i politycznej. Uczcie się historji, Panowie Posłowie, ale nie tej, którą pisali ojcowie jezuici albo ich wychowańcy. A patrzajcie, aby naród Koperników nie stał się narodem Zimmermannów. Otwórzcie okna w Waszym Sejmie i niechaj tę Izbę nawiedzi prąd świeżego powietrza. Niech Geniusz Współczesności wstąpi w jej podwoje i niechaj mu Pan Marszałek łaskawie głosu udzieli. Nie żal na ojczyźnie niebieskiej ponieść stratę urojoną, gdy ziemska realnego unikuie uszczerbku, że wprost odwrócę jezuickiego turbatora paweż myślową. Katolickość i polskość jednością nie jest, ale pierwsza śmiertelną chorobą drugiej. Parafja się uczyniła z naszej pięknej ojczyzny, gdzie bicie dzwonów stłumiło wszelkich serc bicie i gdzie brewjarz zastąpił wszelakiej mądrości płody. Staliśmy się mali i staliśmy się śmieszni. Młódź Somosjerowa do banderji dziś się zapisuje, które paradują w czasie wizytacji biskupich. Koronacje obrazów zupełnie nam zastąpiły — zamilczmy lepiej, a Bractwa Królowej Korony Polskiej i ich procesje wszelkie realniejsze skupienia i realniejsze marsze.

Słuchając przemówień poselskich, niepodobna nieraz obronić się gorzkiemu przekonaniu, że „nie z takich umysłów Sejmu Czteroletniego działalność wiekopomna majowym strzeliła kwiatem“. To byli ludzie myśli niezależnej, głowy europejskie, to były charaktery i sumienia!

Wezwaniem do pracy nad usamodzielnieniem myśli, pogłębieniem sumień i zwarciem charakteru kończy się artykuł, będący świetnym ujęciem niedomagań współczesnej Polski i mocnym uzasadnieniem idei, utwierdzającej supremację narodu nad interesami kościoła i religji.

Z prasy zagranicznej.

* *Socjaliści wobec wojny.* Komitet centralny socjal-demokracji niemieckiej wystąpił na łamach *Vorvaerts'u* z wezwaniem do urządzania wieców celem wyrażenia protestów zbiorowych przeciwko wojnie. W odezwie komitetu centralnego wygłoszono zdanie, że w chwili obecnej niemożliwą jest rzeczą prowadzenie wojny wbrew woli mas ludowych, a więc nie może także dojść do skutku wojna Niemiec z Francją, z powodu Marokka Na wezwanie komitetu zgłosił odpowiedź Edward Bernstein; jest rzeczą charakterystyczną przytym, że odpowiedź przywódcy rewizjonistów umieszczona została w tym samym, ortodoksyjnym *Vorvaerts'u.*

Edward Bernstein oświadcza najzupełniej kategorycznie: „Nigdzie socjal-demokracja nie jest władna dzisiaj zapobiec wybuchowi wojny. Wprawdzie, stawianie pod pręgierzem sprawców wojny oraz piętnowanie ich — jest rzeczą pożądaną, wszelako pamiętać należy przytym, co następuje:

„Wielbicielem pokoju za wszelką cenę, bez zastrzeżeń, może być jedynie rozbójnik, który dokonawszy grabieży, pragnie bezpiecznie spożyć jej owoce. Jest pokój a pokój, i, jeśli demokracja społeczna mówi o pokoju, to jednocześnie dodać winna, w jaki sposób, upragniony przez nią pokój może być stworzony. Jeżeli np. pokój zostałby zabezpieczony przez to, jedynie, że Francja zrzekłaby się na korzyść Niemiec pewnej części Kongo wzamian za usyskanie wolnej ręki w Marokku, to, rzecz jasna, pokój taki byłby złym mniejszym, niż wojna. Wszelako nie byłoby to rozstrzygnięcie kwestji zasadnicze, mogące dać zadośćuczynienie demokratom społecznym“.

Obiecując w następnych artykułach rozwinąć poglądy swe na możliwe rozwiązanie zatargu Marokańskiego, poprzestaje Bernstein na ogólnym rozważeniu zewnętrznej polityki Niemiec i stosunku wobec niej socjal-demokracji:

Chęć oddziałania nie zawsze zbiega się z możliwością oddziałania. Demokracja społeczna we wszystkich krajach, przy rozstrzyganiu kwestji politycznych, rzuca na szalę wagi ciężar wielki, atoli dotąd w żadnym jeszcze państwie kulturalnym nie ma możności ciężarem własnym przeciągnąć szalę wag. Może ona współdziałać temu, aby wojnę uczynić niepopularną w kraju, ale nigdzie nie jest zdolna do niej niedopuścić. Słyszeliśmy z ust robotników francuskich śmiałe zapewnienia o gotowości z ich strony odpowiedzenia rządowi na ogłoszenie wojny— sabotażem. We Francji, rozumie się, nie braknie ludzi, umiejących dowieść, że za słowem śmiałym pójdzie śmiały czyn. Trzeba jednak pamiętać, że nawet podczas strejku w r. 1910, kiedy znaczna część Francji niesocjalistycznej nie była dlań usposobiona nieprzychylnie, wiele zaś bardzo żywiołów, rozdrażnionych wyzyskiem kompanji kolejowych otwarcie życzyło bezrobotnym zwycięstwa, dość było zastosowania przez państwo niektórych tylko, względnie łagodnych „artykułów wojennych“, ażeby próby przeciwdziałań rewolucyjnych sprowadzić do znikomych rozmiarów. A skoro tak, to i we Francji, przy jej rewolucyjnych nawet tradycjach, nie wystarczy dobra wola proletarjatu, aby zapobiedz wojnie, popularnej śród narodu np. jeśli obrażone zostaną interesy życiowe kraju“.

Jednocześnie z artykułem Bernsteina, ukazał się w *Vorvaerts'u* list posła Mohlkenburga. Ten-że dowodzi, że wplecenie w tkaninę polityki wewnętrznej, która służyć będzie za przedmiot obrad podczas wyborów, nici intrygi Marokańskiej, mogłoby zbić z tropu orjentację wyborców.

Z prasy rosyjskiej.

* *Wydalenie słuchaczek Instytutu medycznego.* Niesłychany środek represyjny, zastosowany przez ministra oświaty do słuchaczek Instytutu medycznego, wzburzył do głębi społeczeństwo.

Prasa wciąż zapełniona jest z jednej strony wynurzeniami sprawców niebywałego czynu, z drugiej — głosami krytyki. Poseł do Dumy Państwowej, W. S. Sokołow na szpaltach gaz. *Riecz* daje wyraz swemu oburzeniu, dowodząc, jak bezprawnie postąpił minister.

Dla przykładu poseł przytacza historję córki swej, która jest w liczbie wydalonych. Otóż panna Sokołow, będąc chorą, otrzymała urlop od swej zwierzchności w Instytucie do dn. 1 września.

Pomimo to zaliczono ją do strajkujących i wydalono.

To jest jeden przykład — mówi poseł — ale w liczbie 1, 300 napewno nie jedyny.

> Przytoczony przezemnie przykład dowodzi niewątpliwie, że wydalanie ryczałtowe bez uprzedniego śledztwa, nietylko jest niesprawiedliwe i niepedagogiczne, lecz poprostu jest to głupstwo bezgraniczne, dyskredytujące władzę i raz jeszcze wykazujące, że u nas ani legalność ani sprawiedliwość nie istnieją.

Lecz p. Sokołow zaznacza, że nie chce, by go źle zrozumiano: gdyby córka jego była nawet zupełnie zdrowa, i wtedy nie pozwoliły jej uczęszczać do instytutu, choćby w obawie innych środków pedagogiki p. Kasso,

którą tak dotkliwie odczuły tysiące młodzieży rozesłanej w 4 strony świata.

To co się dzieje w ministerjum oświaty, przypomina dokładnie jurysdykcję sądów wojenno-polowych. I tu i tam — żadnego dochodzenia, żadnej obrony. Szybkość, impet i finał. Tam szubienica, tu wydalenie i wagony aresztanckie. Ale życie nie stoi na martwym punkcie. Wszędzie postęp. Rząd wprowadził sądy polowe z art. 87 ustaw zasadniczych. Ministerjum oświaty — prawem pięści. Dawniej ściśle przestrzegano, by w skład sądu polowego nie dostawali się ludzie z wykształceniem wyższym. A sąd ministerjum oświaty, składający się z ministra i dwóch jego towarzyszów, skompletowany jest z byłych profesorów wyższych uczelni. To już jest ważny krok naprzód. Dawniej sądzono, że do czynienia sprawiedliwości wojenno-polowej najzdolniejsi są oficerowie armji, a ministerjum dowiodło, że te funkcje mogą być spełniane i przez niektórych profesorów uniwersytetu. Dawniej skazywano dziesiątkami, a sąd ministerjum — oskarżał już setkami, pozostawiając wykonawcom wyroku rozstrzyganie zagadnienia, którego z Iwanowów pakować do wagonu aresztanckiego.

Mówią, że kursistki nie zostały ukarane. Nie chciały się uczyć, więc zrobiono im grzeczność, wydalając je. Przypuszczam, że ci, co to mówią, wierzą w swe twierdzenie, gdyż — poczynając od samego ministra, absolutnie nie mają pojęcia o rzeczy.

P. Sokołow dowodzi dalej błędności twierdzenia, że „nie chciały się uczyć". Przeciwnie zawsze chciały i chcą się uczyć; dowodem czego jest stałe przepełnienie szpitali ziemskich przez młodzież praktykującą.

Gdyby p. Kasso choć raz zadał sobie fatygę wizytowania nie uciesznych, lecz rzeczywiście studjujących, to zrozumiałby, że ministerjum nie postawiło nauki należycie i nie stworzyło warunków dla zdobycia wiedzy i praktyki.

Poznawszy ten fakt, nie odważycie się budować bezsensownych syllogizmów dla usprawiedliwienia azjatyckich postępków.

KRONIKA.

STATYSTYKA WSPÓŁCZESNA! *Riecz* oblicza, iż sąd wojenny skazał na śmierć w przeciągu od 14 lipca do 14 sierpnia — 9 osób, a więc o 4 mniej, niż w miesiącu poprzednim (to jest od 14 czerwca do 14 lipca).

Największa ilość wyroków śmierci przypada na Tyflis (3); w Warszawie skazano na śmierć w ubiegłym miesiącu 2 ludzi.

Na 18 pism nałożono kary administracyjne w ogólnej sumie rb. 4550, w tej liczbie 2 gazety czarnosecinne (*Ruskoje Znamia i Objedinienje*) skazano po 500 rub. każdą.

Redaktor miesięcznika *Myśl* Pirożkow siedział w więzieniu 32 dni, poczym został wysłany z Moskwy na 8 lata.

Skonfiskowano pojedyńcze numery 4 pism.

SOCJALIŚCI NIEMIECCY. W spawozdaniu przygotowanym przez niemiecką socjalną-demokrację na zjazd w Jenie, podano b. ciekawe liczby tyczące się wielkiego w ostatnim roku wzrostu niemieckich społecznych-demokratów:

Liczba członków stronnictwa wzrosła w ostatnim roku o przeszło 115,000, mianowicie: z 720,038 na 835,562. W 19 państwach związkowych zasiada obecnie 188 socjalistycznych posłów sojmowych, dwu więcej niż w roku zeszłym. W 140 miastach mają socjaliści 2,015 radnych miejskich, w 2,240 gminach wiejskich 6, 646 reprezentantów. Pism ulotnych wydano w zeszłym roku 23 miljony, w tym roku 33 miljony, oprócz tego rozdzielono bezpłatnie broszur i kalendarzy agitacyjnych w zeszłym roku 2,5 miljonów, w tym roku okrągłe 3 miljony. Do centralnej kasy stronnictwa wpłynęło w zeszłym roku 939,405 mr., w tym roku miljon trzysta tysięcy marek.

Socjaliści w Berlinie według ostatniego sprawozdania zorganizwwani są w sześciu towarzystwach wyborczych liczących 62,105 osób, w tym bardzo wiele kobiet. Największą liczbę ma okrąg VI (północny) berliński, który liczy 39,584, najmniejszą okrąg I (śródmieście) liczący 1,015 członków.

TOWARZYSTWO SZKOŁY LUDOWEJ W GALICJI. Liczby przez nas wymienione tyczyć się będą r. 1910-ego, a w nawiasach odnoszą się r. 1909-ego.

Towarzystwo liczyło Kół 282 (274) członków 30,009 (29,045).

Utrzymało gimnazjów realnych 2 (2), szkół ludowych, utrzymywanych całkowicie przez zarząd gł. 11 (9) przez Koła i Związki okr. 32 (2), szkół utrzymywanych częściowo i pod opieką T. S. L. 110 (125), szkółek początkowych i kursów nauki początkowej 149 (147), kursów uzupełniających przem. handl. i zawodowych 40 (31), ohronek 18 (14), burs 18 (18), domów ludowych 27 (9), czytelń i wypożyczalń 1,955 (1,824). Odczytów wygłoszono 7,005 (5,148), obchodów narodowych urządzono 989 (846).

Obrót kasowy zarządu głównego wynosił 1,581,500 kor. (1,028,322 kor.), budżet wydatków 1,218,426 kor. (845.085). Dar narodowy 3 maja 49,261 kor. (52,933 koron)

W wypożyczalniach i czytelniach jest dzieł 305,208 pism 3,663.

Ilość uczniów korzystających z zakładów T. S. L. wynosiła razem 18,634.

W ciągu swego dwudziestoletniego istnienia urządziło 27,315. odczytów i pogadanek, 2,280 obchodów narodowych, 18 burs i 27 domów ludowych.

Ofiarność społeczeństwa na rzecz tej wielce pożytecznej instytucji oświatowej w ciągu lat 20-tu wyrażała się w kwocie ogólnej 5,000,000 koron.

PIERWSZY WÓJT — SOCJALISTA W GALICJI. Donoszą z pod Krakowa z Rakowic, iż zostanie tam wybrany przez Radę gminną, gdzie większość olbrzymią stanowią socjaliści, nowy wójt.

Będzie to I-szy wójt — socjalista.

POLACY W MIASTACH AMERYKAŃSKICH. Największe skupisko naszych rodaków znajdujemy w trzymiljonowym Chicago, gdzie dochodzą oni do olbrzymiej, zaiste liczy 350,000, osób, stanowiąc 11, 7 proc. ludności. Jest to II-ie po Warszawie na świecie — „miasto polskie". Następnie w Nowym Jorku liczba naszych sięga 260,000, co wynosi 6,8 proc. ogóły mieszkańców, których tu liczą na 3,800,000, głów.

Buffalo wraz z przedmieściami liczy 100,000, Polaków co wynosi 20 proc. ludności ogólnej. A w r. 1870-ym było tu jeno 135 przychodźców polskich.

Czwarte z kolei miejsce co do liczby naszych rodaków w grodach amerykańskich, zajmuje Milvaukee, gdyż posiadło ono 85,000, Polaków co wynosi 21,3 proc. na 400,000, mieszk. Detroit posiada 75,000, Polaków na półmiljonową ludność miasta, a więc stanowią tu oni poważny odsetek, wynoszący 15-ie,

W Filadelfji mieszka 60,000, Polaków, w Pittsburgu 50,000, Clevelandzie 30,000, Baltimorze 25,000, i nakoniec w Toledo 20,000, osób polskiej narodowości.

Ogółem w St. Zjednoczonych Am. Północnej przebywa cały „czwarty zabór" polski, bo olbrzymia gromada naszych wychodźców wynosi pono — 4,475,000, głów.

Liczba zaiste olbrzymia. Stanowią oni prawie szóstą część ogólnej liczby Polaków na całym globie!

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Prawdy" (wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 12—2 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kjoskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel świąt, od godz. 10 do 5 pp.

Kierownik literacki: **Wincenty Rzymowski.**
Redaktor: **Aleksander John.**
Sekretarz Redakcji: **Leon Gorecki.**
Wydawca: **Józef Jabłoński.**

Druk K. Kowalewskiego, Warszawa, Piękna 15.